



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

W wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Nowy-Swiat Nr. 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebiera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

OBOWIĄZEK

(Streszczenie z Samuela Smiles).

(Dalszy ciąg).

Bać się spełnienia rzeczy nikczemnej—jest męstwem;
Wytrwać, gdy przez nią cierpim, jest męstwem zwycięstwa.

Tym głębokim wierszem starego angielskiego poety, Ben Jonsona, zaczął Smiles piękny dzieła swego rozdział: *Odwaga, wytrwałość*. Odwaga jest przymiotem czczonym przez wszystkich; jest to energia działająca w każdej trudnej życia okoliczności, doskonale silna wola, tak nieprzeparta przez trwogę żadną, że czyni nas zdolnymi do tego nawet, aby umrzeć dla obowiązku. Nikt jeszcze nie podniósł głosu w obronie tchórzowstwa, co dowodzi, że zbiorowe, powszechne sumienie ludzkości potępia je. Tchórz jest istotą lichą, niezdolną do przekonań silnych, bo nie ma w sobie mocy, aby odważnie stać przy nich i zstać jest on gotowym zawsze do tego, aby stać się niewolnikiem innych, a jeszcze stary Homer dowiedział, że człowiek musi pozbyć się połowy cnót swoich w chwili, gdy staje się niewolnikiem. „Drugą połowę zagubia w sobie ten niewolnik, gdy się włoży do jarzma swego”—dodaje angielski myśliciel, Dr Arnold.

Mężny potrzebuje często wielkiego wysiłku odwagi, gdy wypadki postawią go w sporze z tchórzem, bo tchórz zwykle jest podły i działa środkami nikczemnymi. Smiles stawia za przykład jednego z angielskich mężów stanu, uderzonego w twarz przez zuchwalca, który chciał go wciągnąć w walkę, sprzeciwiającą się jego obowiązkom i przekonaniom. — Młodzieńcze — rzekł pokrzywdzony—gdyby mi było tak łatwo zmyć z su-

mienia mego krew twoją, jak zmyć z oblicza plamę otrzymanej zniewagi, jużbyś nie żył.

Człowiek odważny działa na innych magnetycznym wpływem przykładu. Rozszerza zarazem szlachetności i ludzie idą za nim, choćby na śmierć. Nie zawsze przecież śmierć jest odwagą najwyższą; zatrzymać się przed nią w chwilach pewnych stanowi właśnie wysoi akt odwagi. Są ludzie potrzebni innym, aby byli przewodnikami spraw dobrych i gdy w walce beznadziejnej wódz zabić się daje, ciało jego staje się mostem, po którym nieprzyjaciel wchodzi do twierdzy.

Przecież ofiarnicza śmierć bohatera nie kładzie końca wpływom jego, podnoszącym dusze. Idea, dla której walczył, nabiera wyższego blasku przez poświęcenie spełnione i opromieniony nią, żyje on i działa nieśmiertelnie w innych, przyspiesza tryumf tego, za co dał życie. Zapal uczuć gorący wiedzie entuzyastę do takiego oddania życia, lecz wtedy-to ludzie wytrwali stają na gruncie opuszczonym, czynią go polem walki dalszej i biorą w posiadanie swoje te miejsca, na których sterczą mogiły ich poprzedników. Zwycięstwo nie przychodzi wtedy prędko, jak nie przychodzi nigdy łatwo; gdy przecież godzina jego wybije, jest ono dziełem zarówno tych, którzy się poświęcili na ofiarę nieszczęśliwą, jak owych, którzy dotarli do upragnionego celu, i wielki mąż włoski dobrze mówił, powiadając: „Anioł męczeństwa i anioł zwycięstwa braćmi są. Skrzydła obu rozciągają się zarówno nad kolebką życia w przyszłości”.

Wszystkie wielkie dzieła świata dokonały się za pomocą odwagi: czyny i uczucia odważne, były im środkami działania. Każde dobro, którego używamy, przyszło na ludzkość jedną i tą samą drogą, wiodącą wskrós zło. Trzeba było czterech stuleci męczeńskich ofiar, aby ugruntował się chrześcijaństwo; w okropnościach walk wiekowych tworzyły się narody: każdy z nich opłacić musiał drogo i krwawo historyczne prawo istnienia swego.

Wierne trwanie przy prawdzie daje nieśmiertelną wartość ofierze. Jakiegokolwiek w postępie wieków były jej pojęcia—nie stanowi tu różnicy. Wszyscy niezachwiani i poświęceni jej wyznawcy równi są sobie w godności i zasłudze; wszyscy zarówno jaśnieją w chwale ludzkości: przez szeregi wieków wiążą się ze sobą i z nami, którzy żyjemy dziś. „Katolicy i protestanci, chrześcijanie i pogany, prawowierni i heretycy”, wyluszcza Smiles i szuka licznych przykładów ofiarniczej wielkości bohaterskiego ducha między przedstawicielami tych wszystkich wierzeń, na wszystkich wysokich drogach szlachetnego uczucia.

Jest tam św. Pankracy i amfiteatra rzymskie, jest Hiszpania i jej stosy inkwizycyjne, Hugonoci francuzcy, Purytanie szkoccy, Kolumb, Leonidas, Judasz Machabeusz, lud Szwajcarski i bitwa pod Sempach, Wallace, król Robert Bruce, wreszcie Joanna d'Arc, ginąca w płomieniach: szlachetne przykłady siły, męstwa, poświęcenia dla idei, dla spraw świętych. Prawie wszystko to znamy jest dla czytelnika, niemniej książka Smilesa rozgrzewa mu pierś i podnosi ducha: czytanie jej dobrem jest nie tylko dla tych, których odwaga potrzebuje wzmożenia, ale i dla ludzi smutnych, dla ludzi mało szczęśliwych. Wielkie ofiary, wielkie boleści, cierpienia tysięcy i za tysiące, rzucają swój cień wspaniały na drobnostkowe niedole pojedynczych jednostek, które tak nam wtedy maleją przed oczyma, że sercu wstyd jęknąć i wydać skargę samolubną.

Książka Smilesa broni też od pesymizmu, od mizantropii, bo w obrazach dusz wzniosłych, bohaterów i męczenników, odbija nam się szlachetnie ludzkość i budzi się szacunek dla człowieka. Szczególniej poświęcenia istot cichych, wychodzących na ofiarę z ciżby zbitej dołem, wczoraj jeszcze maluczkich a dziś już wielkich, wzrusza i przenika serce. Wśród ponurego malowidła krwiożerczych igrzysk, rozbestwionego i razem zgrzy-

białego, szaleńczego używania podniecającego się już tylko Rzymu ostatniej doby pogaństwa w 400 roku, stawia Smiles świetlaną, dziwnie piękną postać starca, pustelnika, po którym nie została nam nawet wiadomość jego prawdziwego nazwiska. Jedni utrzymują, że się zwał Almachus, drudzy, że Telemachus. Nikt go nie znał, i on nie znał nikogo w stolicy Cezarów; przybywał ze Wschodu. Po co? za czym? Kto to wie, jaka tęsknota, jaka myśl, jakie widzenie, może zjawione wśród rozmyślań pustyni, kazało mu się tu znaleźć? Przynieść go mogła ze sobą żywa fala pędzonych z głębi Azji niewolników, bo wiemy, że gnano ich do Rzymu tysiącami, tak dla przesiedleń z miejsc rodzinnych, jak dla prac publicznych, dla dla murowania świątyń, łuków tryumfalnych i tych aren olbrzymich, na których ginęło tysiące zwierząt, obok tysiąca ludzi. Pięć tysięcy lwów, hyjen, tygrysów, zagryzło się, zażarło wzajem lub padła w walce z gladiatorami przy otwarciu przez Tytusa Kolizeum, które budowali Żydzi przygnani z Palestyny. On może przyciągnął za taką kolumną wygnańców, lub przybywał dla klęknienia na jakim grobie, ucałowania relikwii jakiego świętego, doś, że się znalazł wśród szalonych orgii cesarskiej Romy, wśród igrzysk jej krwawych i przejęła go zgroza a razem zjął zapal święty. On położy temu koniec: tym mordom, tej krwi rozlewanej, on—stary, ubogi, nieznany, wystąpi przeciw całemu Rzymowi i zwycięży go. Gdy zapowiedziano zwykłe igrzyska w Kolizeum, walkę gladiatorów, udał się tam za innemi. Tłum zapełniał cały gmach ogromny, lud zalegał stopnie, stalle i łoże zajmowały kobiety, senatorzy i wielcy urzędnicy państwa, nie brakowało nikogo; piękność, młodość, wszystko tam było.

Wreszcie ukazał się Cezar i edyle wydali hasło: gladyatorowie wystąpili, orszak ich przeciągnął przed łożą z purpurowemi obłonami. Gdy przecież uszykowali się na arenie i wydobyli miecze, stała się rzecz niesłychana. Pustelnik przeskoczył mur przedziału i znalazł się przed nimi, rozkazując w imieniu Boga, aby schowali broń do pochwy i nie przelewali krwi niewinnej. Krzyk, śmiech, cyniczny wybuch wesołości przyjął te słowa ze strony zgromadzenia.—Na bok, na bok, starcze—brzmiało na arenie, ale on nie ustępował. Odrzucano go w tył, aby rozpocząć, ale powrócił i rzucił się znowu między mających walczyć, powtarzając swój zakaz. Wtedy tłum zarzyczał.—Śmierć jemu samemu!—wołano i prefekt dał przyzwolenie. Gladyatorowie rozsiekali starca i igrzysko odbyło się zwykłym trybem; potykano się obok jego krwawego trupa; a niemniej on zwyciężył, bo gdy uniesienie, rozgrzanie chwilowe minęło, sumienie publiczne poczęło działać, wyrzuty poczęły się w nim budzić. Tłum wyszedł z cyrku milczący, ponury.—Ten człowiek, który się wydał na ofiarę dobrowolną, ten człowiek to bohater i męczennik, ten człowiek to święty!... Od tej pory już nie było żadnego igrzyska w Kolizeum, lud nie żądał, edyle nie urządzali, aż w dwa lata potem: w 402 roku edykt cesarza Honorjusza zniósł na zawsze walki gladyatorów.

Po wiekach cichego spoczynku, szczątki bezimiennego męczennika zostały ruszone z grobu, pamięć ludzka przypomniała sobie o nim, i nasze już pokolenie uczuło potrzebę uczczenia pamięci świętego. Niedawno temu trumnę jego obniesiono przy dźwiękach pieśni i dymie kadzideł po krwawym polu jego zgonu; milczące przez czternaście wieków Kolizeum ożywiło się nagle gwarem i ruchem, zapełniły je znowu tłumy, ale wzruszone innym już niż niegdyś zapalem i można powiedzieć, że wszedł tu zwycięzca, obchodząc swój tryumf. Zwłoki świętego bez nazwy złożono ostatecznie w pobliskim kościele San Clemente, gdzie mogą dziś jeszcze czynić cuda: budzić w piersiach ludzkich szlachetne uniesienia uczuć wzniosłych, wielkiego poświęcenia się dla ludzkości i sprawy dobrego.

Michellet powiada, że przez cały ciąg dziejów ludzkich ciągnie się nieprzerwany szereg męczenników. Historia przedstawia ich mnóstwo niezliczone: mniej więcej czystych, mniej więcej sławy godnych. Ma swoich męczenników pycha, ma ich nienawiść, duch kontrowersyi. Pierwsi chrześcijanie uświęcali się i utrzymywali w czystości ducha,

przez usunięcie się od czynu, przez oszczędzenie sobie walk i doświadczeń życia światowego; ale wyższą jest cnota działająca, bohaterstwo takie jak np. Joanny d'Arc, która przedstawia w swej słodkiej postaci najwyższą siłę ducha i dowód tego, jak osobistość ludzka może być zawsze i wszędzie tem, czem chce. „Joanna—pisze Michellet—była łagodną wśród najdzikszych walk, pozostała niezmiennie dobrą między złymi, nie tracąc wśród zapasów wojennych cnoty pokój czyniącej. Niosła w łono wojny ducha Bożego“.

I tej wpływ jeszcze trwa, jeszcze działa. Cześć jej utrzymuje się przez wieki w wojsku francuzkiem, przechodzi z pokolenia w pokolenie, i kiedy jaki oddział wojska przechodzi przez rodzinną jej wioskę: Domrémy, żołnierze zatrzymują się zawsze na placu gminny i prezentują broń.

Savonarola nie mylił się też, gdy odpowiadając na pytanie, co do nadziei swoich, prorokował przyszłość tak własną, jak i wszystkich takich, jak on wielkich zapasników ducha.—„Jeżeli pytasz mnie szczegółowo, jaki będzie koniec? odpowiem:—Śmierć! Jeżeli jednak pytasz ogółem:—odpowiem:—Zwycięstwo...“

Wielka i szlachetna to była postać jednego z odrodzicieli idei moralnej wśród zepsucia, które zapanowało w ludzkości po krwawych starciach i twardej szkole wyrabiania się ducha ludzkiego w Wiekach Średnich. Kościół nie mógł położyć temu tamy, a nawet duchowieństwo ulegało wpływom czasu i szło za niemi. Włochy, ognisko ówczesne światła, stały się zarazem ogniskiem zepsucia, zbytków i używania klas wyższych, ucisku i nędzy niższych. Smiles między przykładami dostojnej odwagi i wytrwania w dobrym stawia trzech wielkich Włochów z tej epoki. „Heromartyrs“ jak ich nazywa: Arnolda z Brescia, Danta, Savonarolę. Arnold z Brescia żył w XII wieku, był księdzem, ale prostym księdzem jedynie, serce wielkie, gorące, przytem kaznodzieja wstrząsający wymową swą tłumy całe, nie poządał jednak nigdy godności wysokich, prelatury, majątku i wolał pozostać na swoim podrzędnym stanowisku nauczyciela dusz, nauczyciela ludu. Głosił miłość bliźniego, czystość obyczajów, sprawiedliwość, któraby była dla wszystkich. Był w nim reformator moralny, reformator społeczny, ale bynajmniej nie religijny, przecież uderzono na niego tą bronią i powalono go, zginął na stosie jako herezyk, szkodliwy dla dobra publicznego nowator.

A jednak lud, a nawet wielka liczba szlachty włoskiej stała przy nim gorąco, oddawała mu cześć, jako zesłańcowi Bożemu, kochała go jako patryotę; oraz męża sprawiedliwego, który broni sprawy słabego przeciw możnemu, uciskniemu przeciw uciskającemu. Kazał z początku między prostym ludem jedynie, lecz sława jego nauk rozszalała się wkrótce szeroko i poczęły zbiegać się tłumy, z którymi łączyła się szlachta, wiejska głównie i kobiety, z klas nawet najwyższych. Duszy kobiecej zawsze jest ciężko w ucisku, bo z natury tłem jej charakteru jest dobroć i tkliwość; ciężko jej jest w zepsuciu moralnem, bo tylko miłość wierna, stałość uczuć czystych może jej zapewnić szczęście, ztąd też kobiety tworzą zawsze zastęp obok proroków, wielkich moralistów, wielkich poetów. Ci, którym brat Arnold zawadzał, oskarżył go przed papieżem, Innocentym II, jako burzyciela ludu i krzewiciela doktryn niebezpiecznych; nauki jego zostały też potępione, magistrat miasta Breścia gotował się ująć jego samego, ale zdołał ująć poza Alpy i schronić się do Szwajcaryi, do Zurychu, gdzie przecież nie przebywał długo. Miłość włoskiej ojczyzny, bardzo silna w tem sercu gorącym, wzmożła jego odwagę; chciał pracować słowem natchnionem dla swego narodu, wrócił też wkrótce do Włoch, do Rzymu tym razem i przez lat dziesięć wstrząsał swą wymową miasto na Siedmiu Pagórkach; rządził w niem duszami przez ciąg panowania dwóch papieży, otaczany miłością ludu, broniony przez liczone zastępy szlachty i możnych czystego serca. Lecz wstąpienie na Stolicę Apostolską Adryana IV zmieniło postać rzeczy. Ten jedyny między papieżami Anglik, nie chciał znosić w kościele władzy pobocznej, rzucił kłatwę na całe miasto, jeżeli utrzyma dłużej w murach swoich kaznodzieję. Absolucya stała się od tego zależną i wkrótce

Arnold znalazł oskarżycieli, został pojmany przez magistrat, który go skazał na śmierć, jako niespokojnika i wicherzyciela, zakłócającego porządek i spokój miasta.

Niewdzięczny lud rzymski opuścił go. Potomkowi tych, którzy zezwolili na krwawą śmierć Grachusa, dali przyzwolenie na to, aby płomień pożarł tego męża miłości i bojaźni Bożej. Popioły tego zostały wrzucone w Tyber, aby ci którzy zostali wiernymi mu, nie zebrali ich i nie uczynili z tego relikwii.

Włochy zapadły znów w nędzę ucisku, w zbytki, lekkomyślność i zepsucie. Niezgoda rozrywała je: państwa, miasta, pojedyncze rody walczyły ze sobą; idea Włoch musiała się ścierać z ideą obcego wtargnięcia, zapasy Gwelfów i Gibelinów zakrwawiały kraj. Lecz w XIII wieku zjawia się Dante i sztandar szlachetnych pojęć i uczuć zostaje znów podjęty. Poeta ten był przede wszystkim wielkim pałryotą, miłość ojczyzny dzieliła jego serce z miłością dobra, piękna i prawdy najwyższej. Walczył ze złem, które zabijało Włochy, wyzwał je do zapasów i ścigał na siebie prześladowanie. Dzieje to każdemu znane; dzieło jego: *de Monarchia* było spalone w Bolonii na rynku przez legata papieżkiego, a on sam wygnany z rodzinnego miasta — z Florencyi.

(Dalszy ciąg nastąpi).

IRLANDYA RYS JEJ DZIEJÓW

(Według Beaumonta i innych źródeł).

(Dalszy ciąg)

Epoka III. — 1688—1775.

1. — Jedną z przyczyn upadku Jakóba II-go, który po bracie swoim Karolu nastąpił, były zamiaty dźwignienia katolicyzmu, uwolnienia Irlandczyków od protestanckiej tyranii, wrócenia im ich własności i nadania wszelkich praw cywilnych i politycznych. Irlandya wspierała też wygnanego monarchę katolika, i na jej ziemi, nad brzegami Boyny roztrzygnęła się walka zwycięstwem, które w dniu 14 Czerwca 1690 odniósł nad Jakóbem nowo obrany przez arystokrację angielską król Wilhelm III. Było to ostatnie wysilenie katolickiej Irlandyi — i zwyciężona raz jeszcze, drogo musiała za swój opór zapłacić.

Znaczna liczba owych katolików, którym po restauracyi 1660, bądź wskutek uznania ich niewinności przez samego Króla, bądź z wyroków kommissyi reklamacyjnej zostały wrócone dobra, walczyła za sprawę Jakóba II go; a lubo zawartą w Limerick kapitulacją zobowiązał się Wilhelm III-ci wyjednać u Parlamentu amnestyą i pozostawienie majątków wszystkim rzeczonym katolikom, i lubo szczerze pragnął tego zobowiązania dopełnić, daremne przecież były jego usiłowania. Tak mocno wrzała jeszcze wówczas angielska ku Irlandyi nienawiść, że nawet wolno-obrany król protestant nie potrafił tej tak słusznej sprawy obronić. Cztery tysiące owych katolików ogłosił Parlament buntownikami i zdrajcami, i ziemię ich, razem milion sześćdziesiąt tys. akrów wynoszące, skonfiskował.

W skutku rozporządzeń, jakie uczyniła restauracya względem konfiskat Cromwella, z 11-stu milionów akrów składających Irlandyą, 2 mil. pozostały przy katolikach; obecnie zabrano im jeszcze milion: tak tedy utrzymali się w końcu tylko przy jednym milionie; a i to nie było w posiadaniu wielkiej liczby, lecz stanowiło własność kilku katolickich rodzin angielskiego pochodzenia, które przez szczególne względy konfiskaty uniknąć zdołały. Protestanci, 4 razy mniej liczni od katolików, byli posiadaczami 10-ciu 11-stych ziemi.

Należy tu powiedzieć, co zresztą jest wypadkiem dosyć naturalnym, że owo stanowcze odzielenie katolickiej ludności przez zaparcie jej

SAMA JEDNA

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg)

na prawym brzegu Shannonu, nigdy, nawet wtedy gdy zostało przedsięwzięte, nie było i być nie mogło całkowicie dokonaniem. Uboga ludność kryła się w pierwszych chwilach surowości, a potem opuszczała swoje kryjówki. Nie wszystkich wypędzano, bo się gwałty i ciemieżcom już były sprzykrzyły. Za Restauracyi musiało to prześladowanie całkiem już być zaniechane. Tak tedy katolicka Irlandya znowu była cierpliwą pastwą swych bezpośrednich tyranów protestanckich właścicieli i wspierającej ich Anglii.

2. Ci dwaj ciemieżcy Irlandyi chociaż jeden wspólny mieli interes w jej uciskaniu, różnili się wszakże co do innych widoków.

Przed wojnami religijnymi więcej Irlandya obchodziła królów aniżeli naród angielski: koloniści byli dla króla środkiem podbicia tego kraju, a krajowcy zawsze tym kolonistom zagrażając, trzymali ich przez to w zależności od Korony. W gruncie, Anglia nienawidząc pierwszych jak wrogów, mało miała sympatyj dla ostatnich, jako będących dla niej ciągłym powodem kłopotów i ciężarów, i chociaż ich wspierała przeciwko tamtym, w stosunkach atoli z nimi samymi, nigdy się nie wahała ich interesu dla swego poświęcić.¹⁾

Przez reformacyą zmieniły się stosunki: Anglia widziała przed sobą tylko lud katolicki; niezwyczajając więc już na różnice pochodzenia, całą nań nienawiść wywarła. Kiedy jednakże w skutku krwawych walk i konfiskat usadowiła się w Irlandyi ludność protestancka, to choć nienawiść papizmu w całej była u Anglików mocy, wielką przecież w wywieraniu się miała przeszkodę: bo niezawsze można z powodu zmieszania się ludności katolickiej z protestancką, ciemieżcy pierwszą nie dotknawszy ostatniej, zwłaszcza w stosunkach handlowych. Anglia w XVII wieku była już wysoce przemysłową i handlującą. Walczyły więc w niej dwa uczucia: żywa sympatya dla protestanckich braci w Irlandyi i zazdrość względem nich, jako przemysłowych współzawodników. Będąc zresztą we wszystkim z nimi zgodną i braterską, mniemała Anglia, że, pomagając im uciskać katolików, ma prawo wymagać za to pewnych ustępstw.

Tak się też i stało: przez milczące niejako porozumienie się irlandzcy protestanci zaprzęдали Anglii ogólne interesa swego kraju, jego przemysł i handel; za prawo uciskania podług woli katolickiej ludności, za pomoc angielskiego parlamentu, angielskiego złota i angielskich dział zgodzili się być niewolnikami metropolii, aby tylko mieć prawo tyranizować katolików. Ostatni więc dwojakiemu odtań ulegli ciemieżcy: ogólnemu, które znosili wspólnie z protestantami, i osobnemu, ich tylko samych dręczącemu.

Co do pierwszego, parlament irlandzki zrzekł się zupełnie swojej samodzielności na korzyść angielskiego. Wszelkie postanowienia tego ostatniego były bez jego uczestnictwa i zatwierdzenia obowiązującymi dla Irlandyi, wyjąwszy subsydiów; gdy tymczasem akty parlamentu irlandzkiego o tyle miały moc prawa, o ile je Anglia zatwierdziła; w przeciwnym razie uważały się za niebyłe. Oddawna wprawdzie, bo jeszcze od czasów Henryka VII-go, prawo nazwane prawem Poyninga od nazwiska vice-króla, pod którego zarządkiem było ogłoszone, ustanowiło tę prawodawczą uległość; ale zawsze irlandzki parlament przeciwko niej protestował, teraz zaś zrzekł się wszelkiego prawnego oporu. Zato mógł podług woli pastwić się nad katolikami bez najmniejszej ze strony parlamentu angielskiego przeszkody. Krótko mówiąc, ile razy rzecz szła o katolików i protestantów był panem, skoro zaś o interes między Anglią i Irlandyą — był niewolnikiem.

Tak n. p. fabrykacja wyrobów wełnianych doszła była w Irlandyi ku końcowi wieku XVII-go do znakomitego rozwinięcia i pomyślności, i stanowiła główne źródło bogactwa południowych prowincyj, potrzebując licznych trzód i zatrudniając wiele rąk. Była to więc korzyść i właścicieli ziemskich i ubogiego ludu. Anglia uznała tę gałąź przemysłu za szkodliwą dla swoich wyrobów

i postanowiła zniszczyć ją nałożeniem ceł wyrównujących całkowitemu zakazowi. Parlament irlandzki zaraz ten środek potwierdził, i fabrykacja wyrobów wełnianych upadła; aby zaś to rozporządzenie nie chybiło swego zgubnego celu przez łatwo dającą się przewidzieć pobłażliwość irlandzkich urzędników, postanowiono nadto, iż niedopełniający nowej ustawy, choćby był przez irlandzkie sądy za niewinnego uznany, może być powtórnie przez sądy angielskie do odpowiedzialności pociągniętym. Parlament irlandzki i na to się zgodził. Odwdzięczał się tedy Anglii bardzo dobrze za jej protekcję i pomoc.

Co do drugiego, środki użyte przez protestantów irlandzkich w końcu XVII-go i w XVIII-ym wieku dla ujarznienia i pognębienia ludności katolickiej, zawierały się w szeregu rozporządzeń przez parlament irlandzki wydanych, a przez Anglią bez skrupułu zatwierdzonych i popieranych jej bagnetami. Prześladowcze te ustawy znane są w Irlandyi pod nazwaniem *praw karnych*.

3. Cel tych praw był ten sam co i dawniejszych mordów i deportacji: t. j. zniszczenie katolicyzmu.

Dawne rozporządzenia Elżbiety zabraniające stanowczo wszelkich obrzędów katolickich i nakazujące wszystkim wykonywać przepisy Kościoła Anglikańskiego, były wprawdzie zawieszone; ale zamiast nich postanowiono nasamprzód:

wygnanie na wieczne czasy z kraju wszystkich arcybiskupów, biskupów i innych prałatów mających prawo wyświęcania na kapłaństwo. Gdyby się który ośmielił wrócić, miał być śmiercią karany (1698). Surowe kary ustanowiono na tych, coby biskupów przechowywali lub ułatwiali im powrót, jakoteż nagrody dla denuncjatorów. Jednocześnie zabroniony był przystęp do brzegów Irlandyi księżom katolickim z zagranicy.

powtórnie, prości księża irlandzcy, aby mogli pozostać w kraju, winni byli następujące spełnić warunki: 1-mo złożyć przysięgę obowiązującą do wierności domowi Hanowerskiemu, do wyrzeczenia się Stuartów i donoszenia o wszelkich zamachach przeciwko Panującemu; 2-o zapisać się w regestrach hrabstwa ze złożeniem kaucyi 100 f. s. i deklaracyi nieoddalania się za granice hrabstwa; 3-io odprawiać nabożeństwo w tej tylko parafii, w której są zapisani;

następnie, to odprawianie nabożeństwa nie mogło być wcale nazewnątr widoczne, ani w budowach, ani w znakach, ani w obrzędach jakichkolwiek. Księżom zabroniono zarówno używania ich kościelnych tytułów, jak i noszenia ubiorów ich stanu.

Uchybienie któremukolwiek z powyższych przepisów pociągało karę deportacji. Księdzu, któryby przeszedł na protestantyzm, przyrzeczona była pensya roczna 20-u funtów, następnie do 40-stu podwyższona. Dalej, każdy katolik był obowiązany stawiać się w każdej porze dnia na pierwsze wezwanie sędziego pokoju i zeznać gdzie i w jakiej godzinie słuchał mszy, kto ją odprawiał i kto był na niej obecny; jeżeli nie zechce złożyć takowego zeznania, ma zapłacić 20 f. s., albo siedzieć rok w więzieniu.

Nareszcie zabronione zostały wszelkie pielgrzymki i processye, wszelkie stawianie krzyżów, obrazów i figur po drogach. Stojące dotychczas były zniszczone.

Te były przepisy wprost przeciwko religii katolickiej wymierzone. Ale niedosyć było dla wrogów Irlandyi ścieśnić, utrudnić i nawet zniszczeniem zagrozić samej religii: trzeba im było jeszcze jej wyznawców uciemiężyć i poniżyć jako obywateli. Postanowiono tedy w dalszym ciągu:

zniesienie wszelkich szkół katolickich, chociaż konieczne oddawanie dzieci do szkół protestanckich nie było nakazane. Aby zaś odjąć katolikom środki domowe edukacyi, wygnano i deportowano wszystkich trudniących się prywatnem uczeniem. W razie powrotu czekała ich, równie jak prałatów, kara śmierci. Nadto zabroniono pod surowymi karami posyłania dzieci na nauki za granicę i policyjne środki dla zapobieżenia temu przedsięwzięto.

(Dalszy ciąg nastąpi)

Zawczasu, tegoż wieczora, poszła do gospodyni prosząc ją, aby za towarzyszkę do malarni artysty, córką jej starszą wziąć z sobą mogła.

Matka zezwoliła na to, a panna Lischen, śliczna złotowłosa, wesółą dziewczeczką, była uszczęśliwioną. Była dosyć płochą, chciała zabawy, a bardzo rzadko rozerwać się czem mogła. Matka zmuszała ją do pracy domowej, do kuchni i do prania napędzając. Tymczasem zwierciadło mówiło jej, że była bardzo ładną.

Prawdziwy typ do Gretchen z Fausta, dziecinna, naiwna napozór, z niebieskimi oczkami, w których i melancholia i wesołość łączyły się jak berwy tęczowe. Lischen, dziecinnie miasta, skazane często na towarzystwo sług, mimo tej powierzchowności niewinnej, była świadomą świata i życia.... nad wiek swój i wyraz oczek lazurowych.

A tak się jej na fale zburzone życia rzucić już pragnęło!

Matka dobrze ją znając, trzymała ostro bardzo, śledziła krok każdy. Miała do tego i powody i smutne doświadczenia przykłady.

Lischen, myśląc o jutrzejszym stroju, o przechadźce, a nawet i o nieznanym artyście, przez całą noc spać nie mogła.

Nazajutrz tak się wystroiła zalotnie, iż Ludmiła chciała ją skłonić do skromniejszej sukienki i prostego przybrania głowy, ale się ulitowała nad młodziuchnym trzpiotem, który tak był śliczny i tak z siebie szczęśliwy!

Poszły więc obie, jakby naumyślnie dobrane, aby stanowić kontrast, który wdzięk obu podnosił. Piękność klasyczna i poważna Ludmiły uwydatniła na pół dziecinny urok wesołej twarzyczki dziewczęcia; dziewczę płoche czyniło Ściborzanekę tem majestatyczniejszą w jej smutku łagodnym i majestacie sieroctwa.

Apold musiał oczekiwać na te odwiedziny, spodziewając się może, iż Ludmiła ośmieli się przyjść sama; w początku więc trochę się namarszczył, spostrzegłszy towarzyszkę, lecz piękność jej rozchmurzyła go prędko. Zajęcie się Ludmiłą nie przeszkodziło mu okazać Lischen, że i ją admirał.

Gdy Ściborzancka, cała zajęta obrazami, szkicami, sztuką, wpatrywała się w nie i zadawała pytania, na które rozkończony wymownie odpowiadał, Lischen nie spuszczała oczów z Apolda i on też kilka razy się do niej uśmiechnął. Płoche dziewczę umiało sobie wytłómaczyć i mocno wzięło do serca. Była pewną, że się w niej zakochać musi.

Tymczasem artysta, który tę grupę, stojącą przed nim, mierzył oczyma malarza, zaniemiał nagle i łamiąc ręce — zawołał:

— Proszę pani, racz spojrzeć w to zwierciadło, ce to za śliczny obrazek.

Złożył się on wistocie bardzo wdzięcznie. Na przodzie stała Ludmiła w posagowej swej postawie, a zpoza niej ze złotymi warkoczami, z niebieskimi oczyma, z małym noskiem i rozkosznie uśmiechniętą buzią, filuterna Lischen. Były to, dusza i ciało uosobione, myśl i uczucie, wiekuisty smutek zrezygnowany i płoche nieopatrzone wesele.

Apold rzucił się do stalugi, zsunął z niej rozpoczęte płótno, porwał przygotowane z kąta i drżącą ręką szukał już węgla i palety.

— Na miłość Bożą! pół godziny tylko, a dasz mi pani motyw do najlepszego obrazu, jaki mogę w życiu zrobić, bo go duszą całą malować będę.

Ludmiła się zawahała trochę, na lica Lischen wystąpił rumieniec szczęścia. Modliła się do swej towarzyszki, aby nie odmawiała.

Co skłoniło Ludmiłę mimowoli zgodzić się na pozowanie rozgorączkowanemu artyście? ona sama

(1) Tak za Henryka VIII zabronione było wprowadzanie wełny irlandzkiej do Anglii i inne utrudzające przemysł i handel irlandzki rozporządzenia zostały wydane.

może nie wiedziała. Apold wskazał tylko jak miały stanąć i wielkimi rysami narzucił główne grupy kontury, śpiesząc do naszkicowania twarzy.

Pół godziny przeciągnęło się tak długo, iż wiecór był prawdziwie, gdy Ludmiła nareszcie stanowczo oświadczyła, że dłużej pozostać nie może. Dwie głowy z wielkim wdziękiem były rzucone na płótno. Choć blade jeszcze, już żyły. Lischen szalała, patrząc na siebie, Ludmiła była smutną. Apold rzuciwszy paletę, po wyjściu tych gości, i padł na sofę złamany. Co się w sercu jego działo?—Bóg wiedział jeden. W Ludmile był zakochany zawsze, ale Lischen tak go wabiła oczyma, tak wyzywała go, tak mu się narzucała!

Posiedzenie to miało być pierwszym i ostatnim. Spotkawszy się z malarzem, który ubolewał, że skończyć nie mógł szkicu, mającego na zawsze pozostać tylko snem obrazu, Sciborzanka stanowczo oświadczyła mu, że pozować więcej nie może. Przed wyrokiem tym Apold skłonił głowę.

Od tej chwili zaczęła się trochę usuwać i unikać od niego Ludmiła. On umiał jednak nieznacznie się jej narzucać. Wiedział gdzie i kiedy chodziła, stawał przy niej i miał to z doświadczenia, że ją rozmową o sztuce do zapomnienia obawy zmusić potrafi. Ludmiła gniewała się na siebie, lecz ulegała pokusie.

Apold namówił ją do próbowania kopii Ruysdaëla, nie dla powszedniego frymarzenia niemi, lecz dla studiów kolorytu spokojnego i harmonijnego, dla tych nieskończonych odcieni barw nie dostrzeżonych prawie, które on jej wskazywał i tłumaczył. Sam on wyrobił pozwolenie, ustawił stalugi i miał niejakię prawo przychodzić, służąc jej wskazówkami, które uczennica oćenić umiała.

Gdy się to pierwsze studium dokonało szczęśliwie, Apold, wzorem wielu innych profesorów, znalazłszy w Ludmile więcej wprawy niż się spodziewał, namówił ją na własną kompozycję w charakterze i sposobie mistrza.

Z tych samych elementów, z których składają się zwykle krajobrazy Ruysdaëla, zadaniem było własną rzecz utworzyć, któraby przypominała prototypy. Swobodniejsze tego rodzaju ćwiczenia artystyczne, nierównie więcej uczą, niż niewolnicze kopie, a umysłowi ucznia dają pole do samostanniej rozwinąć się. Apold z ulicy drzewami wysadzonej, którą Ludmiła sama, na sposób Ruysdaëla odmalowała, był nadzwyczaj uszczęśliwiony. Stary Schnorr, który często błądził po galerii, zaglądając w roboty kopistów, powinszował jej, młodej artystce, i ze zwykłą swą dobrocią i życzliwością zajął się piękną—uczennicą Apolda. Malarz szczylił się nią, choć rzeczywiście ona sama sobie winna była więcej niż jemu. Natchnął ją tylko odwagą, potwierdzając wiele z tych prawd, które ona przewidywała.

Gorąca miłość artysty dla panny Ludmiły, doszedłszy do pewnej granicy w objawach swych, musiała stanąć na niej, nie posuwając się dalej. Malarz uczuł z postępowania uczennicy, iż, chcąc iść dalej, stracić może nawet to, co zdobył dotąd. Patrzał, wzdychał, błakał się w alluzjach, lecz skoro coś wyraźniej chciał wypowiedzieć, Sciborzanka zdawała się niesłyszec, nierozumieć, zagadywała o czem innem. Czy jej wprawdzie mówiły o życzliwości, szacunku, często o admiracji dla genialnego artysty, lecz człowiek nic nie mógł pozyskać nad dosyć chłodne wyrazy wdzięczności. Im serce Ludmiły silniej było wzruszone, tem więcej miała się na baczności, by się nie zdradzić. Stawała się nawet chłodniejszą.

Wprawny wodziciel, napróżno cały kunszt wysilał—nie zyskiwał już nic. Przy całym tem uczuciu, jakie miała dla niego Ludmiła, strachem jakimś napępiał ją czasem ten człowiek namiętny, niespokojny, natarczywy, rozpaczający.

Miłość, o której mu wyraźnie mówić nie dozwolano, kryła się poza sprawą sztuki. Niemogąc z niej korzystać, Apold mówił o przyszłości artystycznej i nakłaniał do pracy. Miał w tem zapewne rachubę jakąś, że zalecać począł teraz studia z natury. Ofiarował się nawet kierować niemi, sam, jak powiadał, potrzebując odświeżyć się nową kontemplacją wiekistej mistrzyni.

Ludmiła przyznawała konieczność malowania z tego najlepszego wzoru, ale widziała trudności, niewłaściwości tych wycieczek samotnych. Prze-

pyszne grupy starych drzew znaleźć było można w tak zwanym wielkim ogrodzie, i niemi chciała się ograniczyć.

Apold oparł się temu w sposób przekonywający, dowodząc, że ta natura sztucznie już stworzonego przez ogrodników krajobrazu, załedwie do pojedynczych części studiowania służyć mogła.

— To nie jest natura prawdziwa, dzika, jakiej malarz potrzebuje, mówił, śmiejąc się—nawet te prześliczne dęby i lipy stare, są poobcinane, uczesane, umyte, nie rosną wedle prawa własnego, ale posłuszne wymaganiom ogrodnika. Niema tu ani suchych gałęzi co wiosną opilowywanych, ani tej swobodnej postawy drzew, która je urozmaica i stanowi ich charakter. Pejzaż konwencyonalny znajdziesz pani w ogrodzie wielkim, lecz natury trzeba szukać dalej, gdzieindziej, chociażby w Szwajcaryi Saskiej.

Wycieczka na czas też i w góry, jak powiadał Apold, była bardzo łatwą. Ludmiła pewny wstręt do niej miała i obawę, przekonana, że malarz, który się nią tak zajmował, dogoni ją i z osamotnienia korzystać zechce.

Wziąć kogo z sobą dla towarzystwa nie było łatwem. Na kilka, może kilkanaście, się dni odebrać od zatrudnień, nikt nie mógł bezinteresownie, a Sciborzanka ściśle się ze środkami swemi rachować musiała, aby ich nie wyczerpać.

Byłaby może namówiła Lischen, aby jej z pomocą i robotką jaką w góry towarzyszyła, lecz właśnie w tym czasie zaszło coś w domu, czego sobie wytłumaczyć nie umiała.

Jednego dnia rodzina gospodyni zaniepokojoną była bardzo późnym wieczorem. Ludmiła słyszała gwałtowne narzekania i łajanie starej matki, które się do nocy przeciągnęły, a zrana wybuchnęły gwałtowniej jeszcze. Chciała się dowiedzieć, co zaszło, ale ją zbyt jakimś milczeniem dziwnem. Biegania, poszukiwania jakiegoś, nawet interwencya policyj, trwały przez dzień następny; cała rodzina dalsza zebrała się w mieszkaniu gospodyni. Ludmiła wiedziała tylko, że Lischen znikła. Nie było jej w domu.

Ukrywano to przed nią, nie chciano przyznać; opowiadano sprzecznie, raz, że na wieś wyjechała do krewnych, to, że była chorą — nie ukazała się już więcej.

Z łez i gniewu matki można się było jakiegos, domyslać nieszczęścia, lecz dopytywać o nie nie mogła Sciborzanka, aby nie stać się natrętną. Po kilku dniach ruchu niezwykłego wszystko znowu wróciło w dawne karby, i stara gospodyni tylko pozostała przygarbioną i milczącą, jakby ją wielki cios dotknął. O Lischen nie wspomniano w domu wcale.

Z dwóch pozostałych córek gospodyni jedna była za młodą na towarzyszkę do wycieczki, na drugą teraz spadły wszystkie zajęcia domowe, którym ona, zastępując chorą matkę, ledwie mogła poddać.

Zdało się jednak Ludmile, iż gorącemu życzeniu swojemu studiowania natury potrafi zadość uczynić, namawiając do wybrania się w góry jedną z kopistek, którą poznała w galerii.

Była to nie zbyt już młoda, wcale nie ładna, ale wedle wyrażenia niemieckiego, zapożyczonego od Francuzów „pikant“, panienska, bardzo śmiała, wesoła, gadatliwa, dla której sztuka była niczem więcej tylko chleba kawałkiem. Sama ona, śmiejąc się, przyznawała do tego.

Brunetka, ciemnej płci, opalona, z krótko ostrzyżonemi włosami, z ruchami miękkimi, czarnooka, rysów dosyć nieregularnych, lecz składających całość niezwykłą, ze ślicznymi zębami białymi, które pokazywać lubiła, dosyć zresztą zaniedbana i zabrukana, panna Flora Semmel, drezdeńskich ubogich mieszczan córka, znaną była wszystkim w galerii pracującym, jako—dobre stworzenie.

Nadzwyczaj śmiała, umiejająca radzić sobie, mężczyznom ani ich rozmowy nielekąjąca się wcale, zaczepiająca chętnie, odpowiadająca ostro, panna Florchen rządziła się tu jak w domu. Poważni stróża galerijni słuchać jej musieli; starego Schnorra traktowała jako kolegę, młodych uczniów drażniła żartami i pozwała sobie bezkarnie więcej, niż innym uchodziło.

Do Apolda, z którym znała się od bardzo dawna, szczególną miała odwagę i obchodziła się z nim

niby z wielkiem poszanowaniem, a wistocie z nie-litościwym szyderstwem. On widocznie się jej obawiał, czy oszczędzał. Prawda, że język miała jak brzytwa ostry. Wiecznie wesoła, niezmiennie pracowita, Florchen przynosiła z sobą chleb z masłem w koszyczku, czasem kawałek kielbaski, zjadła je nie tracąc czasu przy robocie, i zasmarowała płótna nielitościwie, dosyć je szczęśliwie spieniężając. Ceny brała nie wysokie, ale też kopie były dla niezawców, na oko tylko zaspakajające. Wprawę miała ogromną, a że jej szło o to tylko, aby zrobić jaknajprędzej, nie myślała wcale, co później z temi, przeciw wszelkim prawdom zamalowanemi płótnami się stanie. Mogły na wielki poczerpieć, popękać w kawałki od różnych mastyxów, jakimi je wysuszała—jej to było obojętnem.

Gdy jej kto czynił uwagi, odpowiadała, ruszając ramionami.

— Dla tych, co moje kopie kupują, są one jeszcze aż nadto dobre. Wy sobie marzycie o sztuce, a ja muszę myśleć o chlebie. Mam starą matkę, która apetyt, jak ja, zachowała wielki. Potrzebujemy jeść. — O sławie nie marzę, jestem machiną do kopiowania! — I potrzasała krótkie włosy, odsłaniając te zęby śliczne, które ciągle coś musiały kąsać, Florchen powracała do swych płócien, aby je conajprędzej oddać przekupniom zadowolonym.

Popłatniejsze kopie, jak sama przyznawała, robiła już po razy kilkanaście, niemal z pamięci. Chociaż ją one mało kosztowały pracy, umiała im nadać pozór dosyć wykonanych. Van der Werffa „Agarę“ robiła na podziw porcelanowo i wylizanie w parę tygodni; przepruch, raz przygotowany, ułatwiał rysunek.

(Dalszy ciąg nastąpi)

NOWINY PARYŻKIE

Teatr.—Nowe sztuki i reklamy, niebezpieczna ich strona.—Alexander Dumas i jego *Księżniczka z Bagdadu*.—Zkąd idzie początek tej sztuki? — *Les Grands enfans*, Gondineta i d'Arlhaça. Scenarium „Księżniczki z Bagdadu“ w głównych zarysach.—Sztuka Dumas i jej przedstawienie.—Rola panny Croizette.—Przesada autora i artystów.—Zniechęcenie publiczności. Pierwsze przedstawienie i upadek.—*Nana*, dramat przerobiony z romansu p. Zoli.—Powodzenie i okłuski.—Dlaczego? — Pan Sardou w Palais Royal.—*Rozwiódźmy się*, komedya w 3 aktach. Powodzenie sceniczne.—Jaki jest układ tej sztuki?—Jakie jej zalety i wady? — *Jack* dramat, przeróbka z powieści Alfonsa Daudeta. Upadek.—*Michał Strogow*, z powieści Verne'a.—*Garibaldi* dramat, przez aptekarza (!) Bordone.

Paryż, w Styczniu 1881 r.

(Dalszy ciąg)

Hrabia po tej scenie z żoną uprzedza Godlera i Trevelego, dwóch swoich przyjaciół, aby byli gotowi mu sekundować w pojedynku, który jest nieuniknionym pomiędzy nim a Nurvadem, znanym ze swej biegleści w tym względzie.

Ale rzeczy zmieniają się nagle. Pani hrabina, chcąc skończyć raz nazawsze z temi zabiegami Nurvadego, a przekonana, że on nie pokaże się w jej domu, odnajduje i podnosi klucz do ogrodu rzucony!

W drugim akcie, widzimy ją ubraną czarno, z koronkową maską na twarzy, w pałacyku na Polach Elizejskich. Wszystko tam jest, jak to powiedział Nurvady: i sprzęt królewski i skrzynka na stole, a w niej milion w złocie, odbitem umyślnie dla niej w mennicy!

Nurvady staje przed jej obliczem

— „Powiedziałem pani, że będę tu cały dzień dzisiejszy, i czekałem na jej przybycie“.

— Panie — odpowiada hrabina — przyszedłem, aby mu powiedzieć, że popełniłeś pan czyn nikczemny, pozwalając sobie płacić mi dług: stworzyłeś mi w ten sposób położenie haniebne, którego nie naprawić nie zdoła.

— Właśnie dlatego zrobiłem, bom wiedział, iż na to niema żadnego ratunku!

— Chybiłeś celu, mój panie — woła hrabina — królewska krew w moich żyłach płynie: nigdy twoją nie będę!

W tej chwili słycać wrzawę nazewnątr; słu-
dzy przestraszeni wpadają i zawiadamiają Nur-
vadego, iż ludzie będący u drzwi pałacu, doma-
gają się wejścia w imię prawa! Nurvady, który
przewidział skandal i pragnie go właśnie, zabra-
nia służbie otwierać drzwi: więc je policja wyła-
muje i zjawia się kommissarz, wezwany przez hra-
biego de Huna.

Hrabina, poznawszy przez okno męża swojego
na czele zbirów, wpada w szaloną wściekłość, i
strasliwa chęć zemsty opanowuje jej serce. —
„Al! to tak on sobie poczyną ze mną, a więc tem
gorzej dla niego“ — jednym poruszeniem ręki od-
rzuca koronkową mantyle, rozwiązuje swój war-
kocz—czy też prawdziwy? — którego sploty okry-
wają jej nagie ramiona, i w takim-to stroju, uka-
zuje się przed kommissarzem policji i przed swo-
im mężem.

Kommissarz policji przystępuje do spisania for-
malnego protokołu, a w pierwszej zaraz odpowie-
dzi, hrabina tłumaczy mu, że jest u siebie, w swo-
im własnym domu, który kupiła za własne pienią-
dze, do czego ją upoważnia prawo, jako kobietę
żyjącą w małżeństwie, pod rządem rozdzielności
majątkowej. Co zaś do Nurvadego, ten stara
się wytłumaczyć kommissarzowi, iż nie ma żadnych
tajemnych stosunków z hrabiną, i że jest u niej
z wizytą.—Pan ten, tłumaczy się—odzywa się hra-
bina—jak człowiek światowy i dobrze wychowa-
ny powinien się tłumaczyć w podobnym wypad-
ku—ale tu zaprzeczenia nie są wcale potrzebne.—
Ten pan jest moim amantem.

Kommissarz policji, który jako w komedji, jest
również grzeczny i światowy człowiek, radzi po-
przyjacielsku Nurvademu, aby wyszedł spokojnie
z domu, będącego własnością hrabiny. I Nurva-
dy *exit*. Potem, zwracając się również grzecznie
do hrabiego: — „Panu też również radzę oddalić
się ztąd — ale proszę wychodzić małemi drzwicz-
kami. Przy bramie zebrało się do trzystu naj-
mniej osób, a jak panu wiadomo, *Francuzi nie lu-
bią mózów, którzy odnajdują i chwytają swe żony
w asystencji kommissarzów policji*“.

Z trzecim aktem wracamy do mieszkania pp.
de Hunów. Hrabina wróciła tu, aby zabrać swe
manatki i opuścić ten dom na zawsze. Za
godzinę wyjeżdża razem z Nurvadem, tak
przynajmniej tłumaczy to nam sama publi-
czność w osobie prawnika Richarda, który darem-
nie stara się uspokoić wzburzenie tej chorej i
cierpiącej duszy. Ale hrabina ani chce słyszeć
o mężu, pod żadnym warunkiem bo ją śmiertel-
nie obraził, i jemu nie przebaczy nigdy; ani o swo-
im dziecku, nad którym nie chce się rozczulać.
Ten bunt oszalałej kobiety, miotającej przekleń-
stwa i wszelkie brzydoty pełnemi rękami, Fran-
cuzi nazywają, dumą mistrzowską; my pominiemy
go w milczeniu.

Zakończenie sceny maluje ją najlepiej: — „Było
to zapewne mojem przeznaczeniem, i tak pomimo-
woli...“

A więc, *alea jaeta!* Nurvady przychodzi po nią,
jeszcze jedna chwila i kobieta, matka, żona, zstą-
pi z wyżyn zacności do tego rynsztoka, w którym
się pluskają występne i sprzedajne istoty — i pój-
dzie ręką w rękę ze swoim kochankiem.

Ale tu zjawia się syn, dziecko, malenki Raul;
widzi matkę, gotującą się do wyjścia z domu — i
jako dziecko prosi jej: — „O! mamó, weź mię z so-
bą na spacer: czas taki piękny“. Napróżno—matka
nie chce słuchać i stara się pozbyć natrętną
chłopczyka. Pieszczone dziecko rzuca się gwał-
tem pomiędzy matkę i Nurvadego; ten, chcąc go
usunąć na stronę, odpycha tak, iż chłopiec pada
na ziemię, czy na kanapę z krzykiem boleści.

Na ten głos, na ten krzyk dziecka, matka się
budzi z obłędu; jak szalona przyskakuje do Nur-
vadego, chwytając go za gardło i woła: — Nędzny!
precz mi z oczu, wypędzam cię! — rzuca się na
dziecko, które okrywa pocałunkami i łzami. Na
widok tej sceny, prawnik Richard, biegnie po hra-
biego, który z przebaczeniem śpieszy i zaledwie
zostawia czas żonie, powiedzieć: — „Przyjacielu,
przysięgam ci, żem niewinna“. Rodzice i dzieci
łączą się we wspólnym uścisku. Rodzina odnosi
zwycięstwo, dziecko wróciło matce honor, a ojcu
miłość małżonki.

Taką jest ta sztuka Dumasa, która, przerywana

prawie co chwila na pierwszym przedstawieniu
chrząkaniem, śmiechem i gwizdaniem, większej
części publiczności, skończyła się w przeciągłym
świeście i w niesłychanym zaburzeniu parteru — po-
wiadamy w niesłychanym — bo było ono większe i
groźniejsze, niż owo z pierwszego przedstawienia
Rochata, Sardou'a. Publiczność ta zresztą — wy-
wołała po kilkakroć aktorów, okryła ich oklaskami
— ale ani słyszeć nie chciała o imieniu autora.
Był to więc położony nacisk na tę różnicę, pomię-
dzy artystami, którzy swe role odegrali wybornie,
a autorem, który oczekiwaniu publiczności nie od-
powiedział w należyty sposób.

Teraz obrońcy Dumasa zarzucają tejże samej
publiczności, że się ciśnie i dobija w tejże samej
chwili na przedstawienie *Nany* p. Zoli w Teatrze
de L'Ambigu. Zapewne, jest w tem pewien po-
zór niekonsekwencji, ale publiczność odpowiada,
że Teatr Francuzki to nie Ambigu. Co uchodzi
w szynku, to nie uchodzi w salonie. A nareszcie,
powiedzmy prawdę, że ta sztuka tendencyjna, nie
trzymająca się doprawdy na nogach — kuleje, pada,
powstaje, idzie w błędzie od początku, a ratuje
się ciągle tak dziecinnymi środkami, że prawdzi-
wie o autorze powiedzieć można, iż żartuje sobie
z publiczności i z oświeczonego towarzystwa,
ze wszystkich tych, których do sali teatralnej
sprowadził.

Kiedy Zola, mówiąc o przedstawieniach ohy-
dnej *Nany*, wygłaszając obronę *pro domo sua*,
karci tę publiczność twardemi słowy: — Cóż to? uda-
jecie tak moralnych ludzi, wy, co się ciśniecie na
przedstawienie *Nany* z tem przekonaniem, że ją
wam pokażą naga, jak w powieści i jak w powie-
ści nieobwijającą słów swoich w papierki — a po-
tem, nieznalazszy oczekiwanych łakoci, rzucacie
kamieniem na autorów, że wam nie dali dosta-
tecznej stawy za wasze pieniądze! — kiedy p. Zola
tak się odzywa do publiczności paryzkiej, co po-
mimo podwyższonej ceny miejsc, co wieczór za-
pełnia teatr, i przynosi do kasy przeszło 6000
franków — Zola ma rację. Ale i publiczność
ma za sobą słusność, kiedy powiada Dumasowi,
iż zbłądził, gdy w tak brudnym rynsztoku każe
nam szukać pereł, nam, co mamy prawo powie-
dzieć z tym starym Francuzem: Ja kota nazywam
kotem, a Robineta oszustem...

Sztuka więc Dumasa, pomimo reklamy i usiło-
wania przyjaciół, niema tej wartości artystycz-
nej, jakiej się spodziewano: jest to młodsza sio-
stra *Cudzoziemki*, tylko jeszcze bardziej rozczoch-
rana i brudna, a chociaż dotąd utrzymuje się
jeszcze na scenie, to zejdzie z niej wkrótce bo
nie ma w sobie magnesu, a kassa, wszechwładna
kassa, może być słusnie na nią rozszalona.

A i co do gry artystów, wiele powiedzieć mo-
żna. Stroje panny Croizette są wspaniałe i py-
sne, ale co do artyzmu? można tu powtórzyć sło-
wa pani Julietty Adam: „Czas już żeby tak da-
wno projektowane jej małżeństwo przyszło do
skutku, bo to jej grę psuje!“ To prawda, niech
już wychodzi zamąż i da nam pokój.

Scena odgrywająca się w tajemniczym pałacy-
ku, jest tego najlepszym dowodem, że ani auto-
rowi, ani aktorom, *non licet* przenosić na scenę to
wszystko, co może być i co jest prawdziwem w na-
turze. Kiedy pani de Hun (Croizette) spozstrzega
męża przez okno w gronie agentów policji — ar-
tystka, spekulując widocznie na żyłkę słabostki
francuzkiej, zaczyna się rozbierać, a nawet coś
więcej niż to słowo „rozbierać się“ powiada. Roz-
rywa bowiem swój stanik, rozdziera koronki,
rzuca w kąt kapelusz, a białe popiersie artystki,
bielsze jeszcze sprzecznością otaczającej je czerni,
fosforyczne rozłącza odbłaski. Złotawe warko-
cze spływają we wzburzonej fali; — słaba strona
Francuzów drgnęła przy tem widmie, jakgdyby
każdy wymówił: — Oto! oto kobieta. Ale kiedy
taż sama Croizette zanurza swe ręce i ramiona
w tej skrzynce gdzie jest milion w złocie, w zło-
cie pierwszego stempla (coż to za różnica po-
między złotem nowem lub starem, kiedy chodzi
o pieniądze? — ale Francuzi co mają swoje wrodzone
błiki, odpowiadają ci na to: jak sobie chcesz, ale
ten pomysł, milion w złocie *dziewicem*, „l'or vierge!“
jest niesłychanej delikatności i wdzięku!) kiedy
więc nurza swe ręce w tem złocie i zaczyna je
garściami rzucać wokoło — zaburzenie, śmiech

i gwizdanie — poruszyły parter. Dlaczego? czy
przez uszanowanie dla dwudziestofrankówki?
Czy dlatego, że w tem rozbieraniu się i w tem
rzucaniu złotem było przechwylenie efektu i nie-
stosowność gry artystycznej? Najprzychylniejsi
nawet zwolennicy autora zmuszeni byli przyznać,
że ta muzyka złota, które przerzucano w skrzyn-
ce, niesfornie zabrzmiała w uszach publiczności.
To też niecierpliwość przechodzi teraz w praw-
dziwy gniew. Protestacje podnoszą się ze
wszech stron, przeciągły świst przelatuje w par-
terze. Nie powiodło się dziewicemu złotu! Tak
więc wszystko się złączyło, aby pokazać biegle-
mu autorowi, że zbłądził. Ale czy on zrozumie
naucę? Wątpię, słysząc to, co mówił, uważa bo-
wiem to wszystko, jakby zakulisową kabałę!

Jeżeli tacy mistrze paradoxu, jak Dumas, tak
pojmują dzisiaj sztukę dramatyczną i w takich
mętach zepsucia i rozkładu społecznego szukają,
nie tylko przedmiotu, ale tematu i zadania; dlace-
goż mamy się dziwić, że tłumy publiczności zale-
wają teatr, gdzie się odegrywa „Nana“ i że
wszystkie a wszystkie miejsca są rozprzedane na
jaki miesiąc naprzód. „Jakiego zrodziście, tak-
kiego i macie!“

(Dokończenie nastąpi)

PRZEGLĄD ARTYSTYCZNY

przez

Bronisława Zawadzkiego.

(Dokończenie).

W salonie Krywulta od dłuższego czasu stano-
wi *great attraction* wielki obraz, nieznanego u nas do-
tąd malarza, *Rossowskiego*: „Skazana“. Artysta jest
ucznem Matejki, wychowancem szkoły krakow-
skiej, która nie na zarty zaczyna sztuce krajowej
przysparzać obfitego plonu talentów. Obraz
przedstawia kartę z dziejów kryminalistyki śre-
dniowiecznej. Znajdujemy się u jednego z bocz-
nych portalów kościoła Najśw. Maryi Panny
w Krakowie; u bramy samej stoi młoda kobieta
w szarej, zgrzebnej koszuli z kłódką u szyi, za-
mykającą żelazną obroż, z tablicą na piersiach,
wypisującą tytuł zbrodni, z dużemi puklami czar-
nych włosów, rozsypanych na białych ramionach,
bosa. Przed nią płonie gromnica, opasana wian-
kiem, jakby symboliczną ironią. Obok siedzi kat
w czerwonym spencerze; goły miecz przy nim.
Tłum, wychodzący z kościoła, odświętnie ubrany,
przygląda się „skazanej“ na hańbiącą karę po-
kutnicy. Jedni zatrzymują się z szyderstwem
albo współczuciem, inni mijają młodą grzesznicę
z pogardliwą obojętnością, sławiąc w duszy Boga,
że są od niej lepsi... Obraz przepoławia się na
dwie równoważne pod względem kompozycyjnym
i psychologicznym części; z jednej strony, jako
czynnik dramatyczny, *skazana*, z drugiej, jako
barwna i bogata kompozycja rodzajowa, tłum
widzów. Pierwsza powinna wzruszyć siłą i praw-
dą wyrazu, druga zająć artystycznym ustosunko-
waniem rozmaitych wrażeń do przedmiotu wspól-
nego zajęcia. Artysta, pomimo nasuwających się
trudności, wywiązał się z obu zadań nader szcze-
śliwie. Jego „skazana“ wyraża ból wewnętrzny
z tą prostotą i uległą pokorą, która zjednywa naj-
głębsze współczucie. Oparta, naturalnie, o ścianę
kościoła, złamana w głębi duszy, a niewyzysku-
jąca tego złamania na efekt pozy, cierpiąca po-
tężnie, a jednak z pewną szlachetną powściągli-
wością cierpienie tłumiąca w sobie, ani natarczy-
wie rozpaczliwa, ani też wyzywająca hardością
oblicza, wypowiada ona jasno, szczerze i przeko-
nywająco całe słowo dramatu lirycznego, który
wiąże się w jej duszy w szereg najboleśniejszych
a cichych wzruszeń, nie potęguje zaś żadnym
zrobionym sztucznie gestem, ruchem lub wyrazem
plastycznej siły swej boleści. Cierpi ona w sa-
mą miarę: trochę mniej, a nie budziłaby już współ-
czucia, trochę więcej, a sytuacja utraciłaby swą
powagę i tragiczny spokój. Rysunek tej figury

wielce poprawny i estetyczny; najdłuższe wgładanie w ruch i tok linii nie wywoła innego wrażenia prócz estetycznej harmonii i ujmującej prostoty.

Szeroki plan, na którym artysta rozpostarł liczne grupy osób przypatrujących się niememu cierpieniu skazanej, zdradza w układzie dojrzałą refleksję i dobre studia kompozycyjne. Coprawda, trochę tych osób zawiele; skala uczuć wywołanych jednym i temże samem wrażeniem, nie jest tak obszerna, tak w dobitnie wyosobnione dźwięki bogata, aby wielką liczbę osób nastroić różnorodnie w jednym tonie górującym. To też każdy odcień ma tu kilka powtarzających się półtonów, przez co rozprasza się pierwotna siła zbiorowego wrażenia i wytwarza niejako monotoność. Nie wszystkie również figury wiążą się z sytuacją: student, który rozsywał sexterną, drugi, który ucieszył się tak szczerze i złośliwie z kłopotu koleżki, przekupka z jarzynami, stereotypowy żebrak, są niepotrzebni, i obecnością swoją przenoszą punkt ciężkości na żywioł rodzajowy w obrazie, podczas, gdy należało raczej unikać wszystkiego, co odwraca uwagę od głównej akcji. Prawda, że w życiu miesza się wszystko i zbliża chaotycznie, ale sztuka ma swe warunki kompozycji, które usuwają rzeczy przypadkowe i podrzędne, ażeby skupić tem silniej uwagę w ognisku duchowej akcji. Z bogatego grona figur uczestniczących sercem i umysłem w dramacie, który stanowi ośnowę obrazu, najszczęśliwiej powiodły się artyście: dziewczynka w niebieskiej, charakterystycznie niezgrabnej sukience z dzieckiem na ręku, z przedziwnie szczerym i głębokim wyrazem boleści wpatrująca się w blade lica pokutującej grzesznicy, rzemieślnik tłoczący się do tejże, aby przeczytać zawieszony na piersiach skazanej wyraz smoty; pyszałkowska, rumiana i zażywna mieszczka, z dumą mierząca ją wzgardliwym spojrzeniem, jakby przed całym światem chciała wystawić podejrzaną trochę patent swej filisterskiej cnoty, złośliwa, koścista staruszka z uśmiechem zadowolonej dewocyj pasająca wzrok widowiskiem „kary boskiej“ wykonanej ręką ludzką na tej „ścierce“, a wreszcie poważna matrona w sobolowej szubie, prowadzona pod rękę przez młodą i wyniosłą obojętną córkę. Natomiast, nie w duchu epoki, nie w stylu rodzimego obyczaju pojętym zdaje nam się szewczyk podający skazanej szydery kwiat lilii; uważamy tę postać za allegoryczne objaśnienie winy młodej grzesznicy, za szczegół niewydobyty z natury przedmiotu, ale chłodną refleksją dorzucony i organicznie z kompozycją niezwiązany. Toż samo za niewłaściwy a nawet niesmaczny trochę pomysł uważamy postać dziewczyny, widocznie płochę, swawolnej rozpustnicy, która z wyrazem bachantki w twarzy zdaje się wyrzucać z piersi niepoprawne hasło szalu, to *evoc!* starożytnej orgii, które nie mieści się w ramach wieku i społeczeństwa wyobrażonego na obrazie. Były takie kobiety niewątpliwie i w Polsce, ale nie występowały nigdy na proscenium obyczajowe. Natomiast piękną jest postać mężczyzny w hiszpańskim płaszczyku, który, obaczywszy *karę kobiety*, odczuwa w piersi *winę mężczyzny* i składa mimowolnie rękę na piersi, jakby chciał w nią uderzyć na poktę.

Artysta ma niewątpliwą siłę i precyzją w charakterystyce figur; każda z nich tłómaczy się wyczerpująco i trafnie uwydatnionym wyrazem indywidualnym z wrażeń i usposobień. W odmalowaniu tych figur znać realistyczną wiarę utrzymaną w mierze i harmonii. Taż sama uwaga odnosi się do jedrznego i dosadnego kolorytu, pełnego życia, silnego w tonie i miękkiego w prowadzeniu pędzla, tam nawet, gdzie chodzi o rozwiązanie subtelniejszych motywów kolorystycznych. W ogóle witamy w Rossowskim talent zdrowy i dojrzewający, który rozlew uczucia trzyma na wodzy, nie popada w ekliwy liryzm, ani w przesadę naturalizmu, a rozporządza techniką nieposłednio już wyrobioną, na sumiennych i dobrze pokierowanych studiach opartą.

Zpomiedzy cenniejszych nowości salonu Krywulta wskażemy na zajmujące pod względem kolorystycznym, chociaż nieotrzeźwione jeszcze z gorączek wyobraźni, kompozycje *Adama Chmielowa*:

„Noc we Włoszech“ i „Widzenie św. Teresy“; na piękne studia charakterystycznych typów, jak „Nad książką“ *Heymana* i „Jankiel“ *Bieszczada*, na świeży i czerstwy, pełen werwy i mocy tonu pędzel *Wojciecha Kossaka* w „Manewrach“ i „Pikiecie“, na ładne wreszcie kompozycje rodzajowe z tłem pejzażu, *Antoniego Piotrowskiego*: „Przez las“ i „U brodu“. Natomiast wielki obraz *Jacka Malczewskiego*: „Pocałunek Judasza“ zarówno w niesmacznej i niejasnej kompozycji, jak w niedołężnym wykonaniu, zdradza pędzel bez szkoły i szlachetniejszego temperamentu artystycznego. Malarz ten toruje sobie oryginalne jakieś szlaki nie drogą pracy i studiów; nie dziw, że wiodą go na karkołomne manowce.

W salonie Ungra, oprócz znanego już w Warszawie „Rozbitka“ *Siemiradzkiego*, wybitnie w tej chwili obraz, uwieńczony złotym medalem akademickim, *Franciszka Krudowskiego*: „Św. Cecylia“. Przedmiot to przez malarzy rozmaitych szkół i wieków od Rafaela do Plockhorsta, z natchnieniem i serdecznym zamiłowaniem już traktowany. Trudno, ucieleśniając raz jeszcze postać mistycznej muzykantki, ustrzedz się powtórzeń. To też Św. Cecylia Krudowskiego nie jest w pomysł oryginalną; kompozycja figury, zwłaszcza w układzie i wyrazie oblicza, wiąże się z żywiołu prostoty i słodyczy *Cycylii Rafaelowskiej* i z patetycznej ekstazy *Cycylii Domenichina*. Siedząc przy organie, w ciemnej izbie, u otwartego na nocny pejzaż okna, wzniosła ona (wedle tradycji, od której ośmielił się z najpiękniejszym skutkiem artystycznym odstąpić tylko Karol Dolci) w górę swe pełne, duże, głębokie oczy, malujące w sobie poetyczną wizję, w której utonęła snadź jej dusza, pchnięta w mistyczny polot akkordami uroczystej muzyki poważnego organu. Cecylia, chociaż rękę jeszcze trzyma na klawiszach, nie gra już zapewne w tej chwili, bo w duszy jej zagrały piękniejsze seraficzne harmonie, a źrenice jej złącę się od blasku niebiańskich widzeń. Obraz malowany jest ze szczerem religijnem natchnieniem i ciepłem duszy; snadź, że artysta umiał nastrój się na wzniosły ton motywu, który obrał i traktuje go w stylu dobrej tradycji malarstwa religijnego. Jako studium *stylistyczne* ma też obraz Krudowskiego niezaprzeczenie wysoką wartość; jako kompozycja, nie zdobywa się na oryginalny wyraz idei, wcielonej w szlachetne i estetyczne kształty. Jego Cecylia jest konwencjonalną, niemal już typową; *przywykliśmy* do patrzenia na takie kształty pojęcia tej postaci. Otoczenie świętej dziewicy gustowne i pełne wdzięku. Pędzel szeroki, soczysty i miękki; efekt kolorystyczny zlewa się z harmonijnie dobranych i ciepłych tonów, ogólne wrażenie obrazu technie urokiem i słodyczą.

Do najcielejszych obrazów, jakie pojawiły się w ostatnich czasach w Warszawie, należy wielki pejzaż morski *Bolesława Łaszczyńskiego*: „Przystań w Sorrento“. Artysta z motywu wielce malowniczego wydobyl cały zapas porywających efektów światła odbitego od lazuru fali morskiej i brudno-żółtawych smug piasku nadbrzeżnego, tudzież skał piaskowych. To przedziwnie plastyczne rzeźbienie się jaskrawych promieni włoskiego słońca na taflach morza i skały odmalował artysta z rzadką siłą i brawurą pędzla. Pod względem techniki wielce zajmującym jest również samo traktowanie wody. Łaszczyński wytworzył sobie w tym obrazie odrębną, prawdziwie oryginalną a wysoce efektowną manierę. Lazur wody ma u niego wielką siłę; ton niezmiernie głęboki, a mimo tego przezroczysty i szklany.

Wskazać jeszcze mi wypada na pełne werwy charakterystycznej i polotu szczerzego uczucia kartony *Andriollego* do „Pamiętników kwestarza“ Chodźki; na zajmujący świetną manierą, chociaż nie zalecający się na wzór portretowego malarstwa kobiecego portret *Hansa Makarta*; na piękną wreszcie kompozycją rodzajową *Antoniego Piotrowskiego*: „Przy studni“; niepozabawioną swojskiego charakteru i realistycznej dosadności, w dość dobrym stylu utrzymanej.

KRONIKA DZIAŁALNOŚCI KOBIECEJ.

Toruńskie Towarzystwo pomocy naukowej dla dziewcząt polskich, założone w 1876 roku na wzór *Poznańskiego towarzystwa pomocy naukowej imienia Marcinkowskiego*, a którego działalność, na skutek umowy z wymienionem wyżej towarzystwem *Poznańskim*, obejmuje cztery północne powiaty W. Ks. Poznańskiego, odbyło doroczne swe posiedzenie w d. 24 lutego bieżącego roku. Członków liczy towarzystwo 355 osób; ze składek wpłynęło w roku ubiegłym 1890 marek 5 fenigów; ogólny zaś dochód towarzystwa wynosił 2,016 m. 70 f. Z tego wydano: na stypendya dla 15 dziewcząt 1642 m. 50 f.; na opłatę szkolną dziewcząt w Toruniu 180 m.; na koszt administracji 35 m. 75 fenig. Ze stypendystek towarzystwa kształciło się na nauczycielki wyższe 5; na bonę 1; w szkole muzycznej w Monachium 1; w szkole handlowej prof. Szafarkiewicza 1. Ukończyło naukę stypendystek 9. Dyrekcja towarzystwa składa się z pań: Teodorowej Donimirskiej, Rakowiczowej, Samplanowskiej, Moszczeńskiej, Szulcowej, Pągowskiej, Rzepnikowskiej i Łysakowskiej, których zacna działalność obywatelska walczyć przecież musi z opieszałością członków stowarzyszenia. Składki doroczne są tak małe, że zaleganie w nich, na jakie skarży się Dyrekcja, może być jedynie skutkiem niedbałości i braku pamięci.

Komitet Muzeum Przemysłu i Rolnictwa urządza w czerwcu roku bieżącego wystawę dzieł sztuki stosowanej do przemysłu i rękodzieł, obejmującą: wyroby z gliny, szkła, metali, z kości słoniowej, z drzewa i kamienia; meble, tkaniny, koronki i skóry, oraz przedmioty sztuki drukarskiej i introligatorstwa. Praca kobieca, która właśnie znajduje najliczniejsze swe zastosowania w wyrobach artystycznego przemysłu, będzie tu mieć szerokie pole popisu. Osoby chcące przyjąć udział w wystawie, powinny nadesłać do kancelaryi Muzeum (Plac Krasińskich Nr. 3) deklarację, obejmującą oprócz nazwy przedmiotu, przybliżony czas jego wykonania, oraz cenę, potrzebną do ubezpieczenia przedmiotu od ognia.

Muzeum połączy z tą wystawą w czasie od dnia 12 do 21 Czerwca drugą wystawę: ozdobnych roślin i owoców letnich. Z roślin mogą być wystawione wszelkie rośliny tak ogrodowe jak cieplarniane, niekoniecznie w stanie kwitnącym, lecz odznaczające się pięknoscią, jak na przykład: paprocie, sagowce, palmy, draceny, banany, obrazkowe (aroidae), ukośnice (begoniae) jak niemniej rośliny osobliwe dla swych kształtów, jak kaktusy, aloesy. Nadewszystko pożądane są te rośliny w okazach wykwiutnych i pięknie ugrupowane. Z róż, lilii i tym podobnych kwitnących w tej porze okazów, mogą być wystawione kwiaty obcięte. Mogą też być wystawione jako okazy sztuki ogrodniczej wszelkie wieniec i wiązanekę. Z owoców letnich pożądane są nadewszystko sortimenta truskawek. Nagrody udzielane będą wystawcom w dyplomach na medale: złote, srebrne, brązowe oraz listy pochwalne, i nagrody pieniężne. Gdy dołączymy do tego wystawę ptactwa, jaka ma mieć miejsce tegoż lata przy wystawie koni, widzimy, że otwiera się szerokie pole dla okazów pracy kobiecej.

Sztuka, napisana dla *Modrzejowskiej* przez angielskiego dramaturga Will, nosi tytuł „Juanita“. Jestto dramat historyczny z dziejów Hiszpanii w wieku XVI.

Kobiety irlandzkie związały się w stowarzyszenie: *Kobiecej Ligi Rolnej Narodowej* (Ladies National Land Ligue), której przewodniczy Anna Pernell, siostra sławnego irlandzkiego patrioty. Celem kobiecej *Ligi Narodowej* jest dostarczanie męskiej Lidze funduszy pieniężnych. Komitet *Ligi kobiecej*, zowiący się *Radą wykonawczą* (National Executive Council) składa się: z Anny Parnell, Klary Stritch, Nannie Lynch i Henryki Byrne, jako sekretarza. W Londynie związał się także oddział *Narodowej Ligi kobiecej* pod przewodnictwem Mrs Sullivan, żony irlandzkiego posła do parlamentu. Londyńska

Rada wykonawcza składa się ze wspomnianej Mrs Sullivan, miss Heleny Taylor, Miss Spender, Miss Rea, Mrs Quinn, Mrs Knowles, Miss Karolina M'Carthy jako podskarbini, Miss Hanna Lynch jako sekretarka. Pierwszem dziełem tego londyńskiego oddziału *Narodowej Ligi Kobiecej* była gorąca odezwa do kobiet irlandzkich i angielskich. W londyńskim Komitecie połowa pań są Angielkami z urodzenia, ale dusze szlachetne stoją zawsze po stronie sprawiedliwości. Sama Anna Parnell, jakkolwiek urodzona w Irlandyi, pochodzi też z rodziny angielskiej i jest nawet protestantką; niemniej związała się sercem całem podobnie jak jej brat, ze sprawą Irlandyi. Jest ona bardzo majątną, wysoko wykształconą i podobno piękną, należy przytem do wyższych sfer towarzyskich. Może brat rozbudził w sercu młodej dziewczyny te uczucia gorące, które dziś w niej działają. On sam doznał pierwszego wstrząśnięcia serca w tym kierunku, gdy jako student uniwersytetu w Cambridge przebywał w Anglii i był przytomny w Manchester straceniu trzech politycznych przestępców irlandzkich: O'Brienna, Lar-nina i Allena. Rodzina Parnellów ma w sobie ze strony macierzystej krew irlandzką.

Senat uniwersytetu w Cambridge przypuścił kobiety do egzaminów akademickich ogromną większością 398 głosów przeciw 32. Składająca je osoba nie potrzebuje słuchać wykładów w samym uniwersytecie, lecz potrzebuje być studentką szkoły: Girton College lub Newnham College, które są najzupełniej żeńskimi kolegiami uniwersytetu Cambridzkiego. Profesorowie tegoż uniwersytetu wykładają we wspomnianych dwóch szkołach, których karność i kierunek naukowy jest najzupełniej ten sam, jak w kolegiach dawniejszej fundacyi tegoż uniwersytetu.

Na uniwersytecie londyńskim słucha obecnie wykładów 170 kobiet, a studentka Edynburskiego uniwersytetu z wydziału historycznego Miss Heather-Big, otrzymała stypendyum fundacyi Józefa Hume, zwyciężywszy wszystkich współubiegających się z nią studentów w rozprawie na zadany temat z historii szkockiej.

Dziennik angielski „Standard“ podaje list Carlyla, pisany 1871 r. do lorda rektora Edynburskiego Uniwersytetu w kwestyi medycznych studiów i lekarskiej praktyki kobiet, pod którymto względem wspomniany lord rektor pytał Carlyla o zdanie:

— „Kochany panie. Ze wstrętem jedynie piszę do ciebie w przedmiocie tej emancypacyi kobiecej, która obecnie doszła do tak wysokiego stopnia i czynię to pod tym warunkiem tylko, że rzecz zostanie najciszej prywatną i nie z tego nie będzie rozgłoszonem przez gazety. Prawdą jest, że przedmiot ten był dla mnie przeszło od lat dwudziestu pięciu, a szczególnie od trzech czy czterech ostatnich, rzeczywistym zmartwieniem, jednym z najmocniej zasmucających dowodów nędznej anarchii, przeważającej obecnie w społeczeństwie ludzkim i unikałem też myśli w tej materii, zajmując się nią wtedy tylko, gdy konieczność zmuszała. Tę odrobinę, która stała się dla mnie jasną w tej sprawie, postaram się panu określić.

„Najpierw nigdy nie wątpił, że jestto i będzie zawsze prawdziwym i szlachetnym spełnieniem zadania kobiety w świecie, gdy zostawszy żoną i towarzyszką życia uczciwego mężczyzny wywiąże się dobrze z tych obowiązków, które spadają na nią jako na matkę dzieci i gospodynię domu — obowiązków tak wysokich, szlachetnych i w cichości swych ważnych jak tylko wysokie, szlachetne i ważne mogą być obowiązki jakiegokolwiek istoty ludzkiej. Obowiązki te, zanie wykonywane, czynią kobietę na słodki, piękny, niemal święty sposób królową świata, i przy jej wrodzonych zdolnościach, wdziękach, sile i razem słabości, należą one we wszystkich położeniach życia specjalnie do niej. Rzeczywistem przeznaczeniem kobiety jest pozyskać sobie mężczyznę, którego mogłaby kochać i szanować i oddać się cicho pod jego opiekę i z tą całą mądrością, wdziękiem i heroizmem, które posiada, wieść wtedy życie, które w następstwie tego związku jest jej przepisane.

„Zdaje się niemniej rzeczą niewątpliwą, że jeżeli kobieta zmieni się z tem przeznaczeniem, lub go się wyrzecze, ma wszelkie prawo wobec Boga i ludzi jąć się każdej uczciwej pracy, jaką znajdzie dla siebie w świecie. Przypuszczalnie jest kilka, raczej wiele zajęć pozostających dotąd wyłącznie w rękach męskich, do których kobieta może być mniej lub więcej uzdolnioną: jak drukarstwo, krawiectwo męskie, tkactwo, biurowość i tam dalej. Ze medycyna nie jest w gruncie rzeczy niestosowną dla kobiety, dowodzi tego fakt, że w czasach większej żarliwości i skupienia się, niż nasze, zanim leczenie stało się zawodem, kobiety bywały rzeczywistymi jedynymi lekarzami, chirurgami, tak samo jak dozorczykami chorych, jakie świat posiadał. Ukształtowanie ich umysłowości, ich uczuciowości, ich cudowna bystrość obserwacyi i tam dalej, zdaje się wykazywać w kobietach szczególne przymioty zajmowania się chorobami, a pewne chorób tych oddziały (choroby kobiece) przedstawiają jakby szczególnie im właściwe pole użyteczności. Zatem odpowiedzią to jest moja, na zapytanie pańskie, że dwie rzeczy w tym przedmiocie nie ulegają wątpliwości:

1) Że kobieta, to jest każda kobieta, która tak postanowi, ma prawo studiować medycynę i że mogłoby być rzeczą korzystną, oddającą społeczeństwu przysługę, gdyby im to ułatwiano a przynajmniej umożliwiono. Lecz:

2) Dla wielu przyczyn kobiety studiuje medycynę, powinny mieć, jeżeli można, kobiety nauczycielki, lub nauczyciele, z pomiędzy niezmiernie wyborowego rodzaju ludzi. Zarazem pomieszanie młodych kobiet z młodeymi mężczyznami w klassach anatomii, na wykładach klicznych i wogóle przy nauce medycyny, sprzeciwia się wspaniałomyślności, a każdy skromny i czysty umysł, jedynie ze wstrętem pomyśleć o tem może!

Zdrowy rozum i delikatność uczuć społeczeństwa, rozstrzyga w Anglii mniej więcej w ten sam sposób, kwestyą studiów medycznych dla kobiet. W Londynie posiadają kobiety *Szkółę medycyny* własną, w Uniwersytecie Londyńskim i zapewne w tych wszystkich uniwersytetach Anglii, Szkocyi i Irlandyi, gdzie im uczęszczać regularnie wolno, wszystkie przedmioty wskazane przez Carlyla, mają dla kobiet klasy osobne. Kobieta ma prawo do wyższej szkoły własnej i społeczeństwa urządzające się rozumnie, z wyższym na rzeczy poglądem, nie odmówią jej tego przy obecnych umysłowych kobiety potrzebach. Szkoły mieszane mają przeciw sobie to wszystko, mają to rzeczywiście, co dziś wywołuje w społeczeństwie opór, stawiany przeciw przyjmowaniu kobiet do uniwersytetów. Nie o naukę tu chodzi, ale o sposób, w jaki ta nauka przychodzi do kobiety młodej. Dziś już niema wątpliwości, że rzecz się urządzi na drodze kompromissu spokojnego, wszędzie pod boki uniwersytetów powstaną takie szkoły, jak angielskie: *Girton College*, *Newnham College* i wyższa nauka kobiety nie będzie przyczyną, nie będzie „dowodem nędznej anarchii“ w społeczeństwach.

Królewska Akademia Sztuki w Londynie przypuściła, jak wiemy, od dwóch lat kobiety między członków swoich, z małemi wyłączeniami w zarządzie czynnym spraw Akademii. Przecie przy dwukrotnie powtarzających się od tego czasu wyborach, żadna z kobiet, które się na to podały, nie przeszła. Liczba członków jest ograniczona i przeważyli zawsze mężczyźni.

Lady Florencia Dixie udaje się do Capu, jako korespondentka z placu wojny do gazety *Post*. Pierwszy to raz obrazy bojów będą kreślone piórem kobiecym i z kobiecego punktu widzenia.

Do komitetu *Rady nad elementarnem wychowaniem publicznem* we Francyi, weszły trzy kobiety: Amelia Dosgues, posiadająca tytuł: „*Officier de l'Académie*“; inspektorka w wydziale publicznego wychowania, i dyrektorka szkół normalnych dla nauczycielek w departamencie Sekwany: de Fribourg; Marya Loixillon, reportująca inspektorka szpitali podrzutek.

Siedm kobiet, otrzymały od ministerstwa spraw wewnętrznych medale honorowe, lub wzmianki zaszczytne za czyny odwagi i poświęcenia: Marya Franciszka Keranflech, służąca w Lannion, zrانیo na niebezpiecznie przy obronie kobiety, którą pijany

mał chciał zamordować nożem; Małgorzata Pieron z Roche-sur-Marne i Emilia Dumay (siostra Beniamina) przełożona szkoły gminnej w Etang, za pielegnowanie chorych na ospę; Izabella Klein, fotografista w Saintes, za zatrzymanie rozbieganych przy powozie koni; Joanna Gerand, Amelia Fons, Guilberta de Luxeuil za ratowanie tonących.

Wykłady dla kobiet włoskich przy rzymskiej *Wyższej Szkole Kobiecej* (Scuola Superiore Femminile) zostające pod szczególną opieką i kierunkiem królowej Małgorzaty, rozpoczęły się z miesiącem lutem. Wykłady te są miewane przez profesorów Uniwersytetu, literatów i statystów. W tym roku jest między wykładającymi Minghetti i Mamiani. Bruniatti wyklada: „O rządzie konstytucyjnym“.

Pisma niemieckie donoszą, że kobieta wniosła do austriackiego Ministerjum Oświecenia prośbę, o pozwolenie publicznego nauczania języków: tureckiego, arabskiego i perskiego. Dla kobiet nauka ta ma być bezpłatną. Zapewne ta bezimienna, jest to panna Różycka, ozdobiona, jak donosiliśmy w roku zeszłym, przez cesarza austriackiego, orderem, za „Słownik turecko-niemiecki“.

DROBNE LISTKI.

Zoologiczne laboratorium morskie w Neapolu posiada znakomity przyrząd nurka do spuszczenia się na dno morskie w celu dokonywania tam poszukiwań naukowych. Wrażenia, doświadczane przez spuszczonego się, są różnorodne i wielce ciekawe. Najpierw wzrok zostaje uderzony nieopisaną pięknoscią kolorów. Panuje błękit, ale błękit w tonach najbogatszych, w odcieniach najrozmaitszych. Jestto kolor wody pod rozmaitym stopniem jej głębokości, przecież wkrótce ta błękitność ogólna zaczyna się pstrzyć innemi barwami, pochodzącymi od traw morskich i licznych roślin, kwiatów podwodnych tworzących na skałach powabne grupy zarośli, od zwierzokrzewów, mięczaków, muszli i żyłatek rozmaitych, nieprzeliczonych mieszkańców państwa Neptunowego, przesuwających się, bujających, igrających wesoło wśród rozgałęzień flory podmorskiej.

Ryby o mieniących się łuskach przybliżają się z podziwieniem do nieznanego im gościa; można też przy pewnej zręczności, lub za pomocą siatki, używanej na motyle, chwycić je bezkarnie. Ciekawość i strach zdają się walczyć w tych powabnych stworzeniach wodnych, ale ciekawość przemaga, i gdy z początku pierzchają za każdym poruszeniem człowieka, potem cisną się wkoło niego z natrętnością, niekiedy niewygodną. Przezroczyść wody na sześć do ośmiu metrów w głąb jest tak doskonała, że można obserwować najdrobniejsze szczegóły u roślin i zwierząt. Można też posługiwać się lupą i za pomocą delikatnych szczypcyków chwycić przedmioty, najmocniej do miejsca przyczepione. Oddychanie jest tak przytem wszystkim normalne, że pod tym względem nie ponosi się żadnej przykrości. Ale ciśnienie na bębenki słuchowe jest bardzo bolesne już w głębokości 3 lub 4 metrów i mimo zatkania uszu, które dokonywane bywa bardzo starannie przed włożeniem hełmu nurka, wrażliwość tych organów pozostaje bardzo wielką i bolesną.

Przecież po pewnym czasie organizm nasz przyzwyczaja się do zanurzania i boleści uszne ustępują. Za drugim zanurzeniem się już postęp w tem jest bardzo wielki, niemniej jest to niebezpieczną rzeczą, gdyby ktoś próbował od razu zagłębić się poza trzy lub cztery metry. Na dziesięć metrów już ciśnienie wody jest znaczne, a przecież człowiek zdołał zstąpić w głąb morza pięć, a nawet sześć razy głębiej. Peterson zanurzał się z łatwością trzydziści i trzydziści pięć metrów; tu już ciśnienie jest takim, że oddech wżyma się w ciało, a oddech staje się tak utrudnionym, że nie jest rzeczą rozsądną pozostać na tym stopniu głębokości dłużej nad pół godziny.

Międzynarodowy kongres geograficzny odbędzie się w tym roku w Wenecyi pod przewodnictwem

włoskiego Towarzystwa geograficznego. Wystawa wszystkich przedmiotów, nieprzedstawianych w Paryżu na takimże kongresie z 1875 r. mieć tu będzie miejsce. W ogóle to zebranie się uczonych geografów będzie wielce ciekawem z powodu licznych podróży, odbytych w dalekie i niezbadane dotąd miejscowości. Ruch nauki w kierunku geograficznym jest bardzo znaczny. Wyprawy w stronę bieguna południowego mnożą się mimo nieprzewidywanych dotąd trudności; strony więcej dostępne badają się i opisują. Nasz uczone podróżnik i przyrodnik, Rehman, liczy się do tego zastępcy rycerzy nauki. Emil Holub, Czech, który zwiedzał te same co Rehman strony Afryki, powrócił świeżo do Europy i przez odczyty, w Wiedniu i w Pradze mianem, czyni nazwisko swe głośnie. Paryżkie towarzystwo geograficzne obdarzyło portugalskiego podróżnika po Afryce, Serpa Pinto wielkim medalem złotym.

Muzeum astronomiczne zostało urządzone przy Obserwatorium Paryżkiem. Muzeum to, mające otworzyć się wkrótce dla publiczności, zawiera malowidła odnoszące się do astronomii i astronomów, popiersia tychże, medale, sztychy, fotografie z obserwacji nieba.

Kwestya rozvodu rozbierana w Izbach francuzkich, została rozstrzygnięta w senacie 246 głosami przeciw 216, pozostawiając rzecz jak była, to jest niedopuszczając do praw francuzkich rozvodu, który wprowadzony był do nich przez cywilny kodeks Napoleona, a usunięty przez Izbę deputowanych w 1816 roku. Naquet, popierający kwestyę tę w Izbach, zapowiedział, że jestto przegrana tylko chwilowa, gdyż postanawia nie ustępować z pola walki.

Zasypane piaskiem miasto zostało odkryte w Algierii, w pobliżu miasta Quargla, przez francuzkiego archeologa Tarry. Szczególna wzniosłość piaszczystej miejscowości zwróciła na siebie jego uwagę; odkopano najpierw minaret jeden, potem meczet cały, dalsze poszukiwania odkryły wyniosły terras, wieżę i dwanaście domów, dosko-

nale zachowanych, a zagrzebanych w piaskach pustyni, które nawiązać tu musiał kilkakrotnie powtórzony sirocco. Roboty odkopywania prowadzą się kosztem rządu, miasto zagrzebane zdaje się być bardzo starożytnem. Nie istnieje między ludnością prowincyi żadna legenda o jego przeszłości.

Poza murami Pompejów prowadzone rozkopywania odkryły w odległości jednego kilometru od miasta małą willę podmiejską. Na przestrzeni kilku metrów znaleziono 30 skieletów, z tych dziesięć znajdowało się skupionych razem w jednym z pokojów willi. Zdaje się to być rodzina cała, która się zbiegła w chwili niebezpieczeństwa i razem też umarła. Strach śmierci nie rozerwał związku sere, nie pędził myślą o ratunku w strony różne. Smutno pomyśleć, że teraz rozdziela zapewne szkielety, na których znaleziono kosztowne ozdoby: naszyjniki, bransolety, zausznicie i pierścienie.

Pomnik Garibaldeggo, mający stanąć w rodzinnem jego mieście Nicei, mieć będzie podstawę, pięć metrów obwodu, a metr wysokości mającą, a która przedstawi cztery przodowe dzioby okrętów, otoczone falami morskimi. Ponad tą podstawą wzniesiony piedestał z ozdobami w płaskorzeźbie ukaże z czterech swych stron cztery podpisy: „La Francia à Garibaldi“, „Ai Mille“, „Armata dei Vosgi“, „Armata della Cote d'Or“. Na piedestale ścięta kolumna, a na pięć metrów od jej podnóża podstępnie z wieńcem kwiatów, a niem dopiero główna część pomnika: kołobka Garibaldeggo na ołtarzu ojczyzny.

Galerya Drezdeńska z bogactwami się świeżo pięknem malowidłem Valazquez'a. Przedstawia ono grupę głównych osobistości dworu Filipa IV w kostiumach mitologicznych. Królowa przebrana jest za Dyana.

Narodowy astronomiczny zegar Amerykański został wystawiony na widok publiczny w Nowym Yorku w gmachu Tammany Hall. Jestto olbrzymi mechanizm, wysoki stóp 18, szeroki osiem i osiem głęboki. Waży 400 funtów, kosztuje

50,000 dolarów, a wskazuje czas czterdziestu głównych stolic i ruch naszego planetarnego systemu obrachowany na ciąg dwóch wieków. Kwadrans wydzwaniają cztery postacie, uosobniające: dzieciństwo, młodość, starość i śmierć. Co godzina drzwiczki w zegarze otwierają się i widać Washingtona siedzącego na krześle prezydyalnym pod baldachimem. Trzyma on w ręku deklaracyą niepodległości Ameryki, powstaje, podnosząc ją ku górze i wtedy odbywa się widowisko. Sługa publiczny, w sukniach galowych, staje przed nim, kłania się i następnie otwiera drzwi znajdujące się z prawej strony „ojca ojczyzny“ i wtedy wychodzi z ich podwojów processya paradowa, złożona z wszystkich, aż do czasów naszych prezydentów Rzeczypospolitej. Każdy z nich, przeciągając przed Washingtonem składa głęboki ukłon, a z lewej strony ukazuje się woźny, podobny prawemu, otwiera drzwi na lewo, kędy uchodzi orszak dostojników. Gdy prezydent Hayes, zamykający ten poczet, znika za podwojami, Washington siada i koniec uroczystości.

Sila produkcyjna zboża dowiedziona została przez doświadczenie, któremu je świeżo poddano. Trzysta ziarn zboża zostawionego w 1874 pod 81°, 16' szerokości północnej przez okręt *Polaris* i przez lat pięć wystawionego na zimy i lata strasznego klimatu stron tamtych, zasiano w 1877 r. w rządowym ogrodzie botanicznym Australii południowej i z tych zeszło 60, wyrosło w słomę od 3 do 4 stóp wysoko i wydało kłosa, zawierające przecięciowo ziarn po 30. Zboże, otrzymane z ziarn tak wypróbowanych, będzie, według doniesień *Scientifique American*, uprawiane sposobem próby w stronach odległej północy.

Do dzisiejszego numeru „Bluszcza“ dołącza się półarkusz 4-ty powieści pod tytułem: *Służąca posesora*; oraz półarkusz 11-ty powieści pod tytułem: *Wódz-Duch*.

OD WYDAWCY.

Pismo niniejsze wychodzić będzie w przyszłym kwartale pod dotychczasową Redakcyą i na dotychczasowych warunkach.

Prenumerata wynosi:

W Warszawie:		Za dodanie dwa razy na miesiąc mód kolorowanych		Za dodanie co tydzień Mody kolorowanej, oraz co miesiąc zefiru	
Miesięcznie	kop. 60	dopłaca się w Warszawie:		dopłaca się w Warszawie:	
Kwartalnie	Rs. 1 kop. 80	Miesięcznie kop. 15 czyli liczy się	kop. 75	Miesięcznie kop 40 czyli liczy się	Rs. 1
		Kwartalnie kop. 45	Rs. 2 kop. 25	Kwartalnie rs. 1 kop. 20	Rs. 3
Na prowincyi i w Cesarstwie:		Na prowincyi i w Cesarstwie.		Na prowincyi i w Cesarstwie:	
Kwartalnie	Rs. 2 kop. 50	Kwartalnie kop 50 czyli liczy się	Rs. 3	Kwartalnie rs. 1 kop. 60 czyli liczy się	Rs. 4
Półrocznie	Rs. 5	Półrocznie rs. 1	Rs. 6	Półrocznie rs. 3	Rs. 8
Rocznie	Rs. 10.	Rocznie rs. 2	Rs. 12.	Rocznie rs. 6.	Rs. 16

Nadmienić mi wypada, że najlepiej będzie dla Prenumeratorów na prowincyi zamieszkałych wprost od siebie do Redakcyi nadesłać prenumeratę wraz z dokładnym i wyraźnie napisanym adresem. Prenumeratorów z prowincyi i Cesarstwa upraszam również, aby żądania swoje raczyli adressować, do Redakcyi *Bluszcza* Ulica Nowy-Świat Nr 1250 (nowy 55)."

Wczesne wyprawianie pierwszych, regularne odsyłanie dalszych numerów „*Bluszcza*“, zależy głównie od zastosowania się, pod względem przesłania prenumeraty, do powyższego ogłoszenia.

MICHAŁ GLÜCKSBERG

Księgarz-Wydawca.

TREŚĆ. Obowiązek, ze Smiles'a, (dalszy ciąg), przez M. I. — Irlandya, Rys jej dziejów, (dalszy ciąg). — Sama jedna, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Nowiny paryżkie, (dalszy ciąg). — Przegląd artystyczny, (dokończenie), przez Bronisława Zawadzkiego. — Kronika działalności kobiecej. — Drobne listki.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 3 Марта 1881 года.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

SLUŻĄCA POSESORA

POWIEŚĆ

E. MARLITT

przełożył z niemieckiego J. Maciejko

(Dalszy ciąg).

P. Henryk Markus trzymał się tak zawsze na ostrożności w czasie przebadzek swoich, że nigdy nie podszedł bliżej pod zabudowania folwarku. Było to zaraz od początku jego niezachwianem postanowieniem, aby w myśl ostatniej woli nieboszczki postąpić i znaleziony brulion jej listu, jak uczciwość nakazywała w sądzie złożyć, ale nie życzył sobie robić tego obecnie, osobiście. Za powrotem do domu zamierzał dopiero listownie się z tem załatwić, bo czuł nieprzewidywany wstręt do starego marnotrawnika, chorego biedaczka nie była pociągająca znajomością, a p. guwernantka odstraszała do reszty. Przytem nie chciał psuć, mieszać sobie nieczem miłej mu niewymownie, a raz pierwszy w życiu zakosztowanej samotności. Nie można było przecież nazwać go człowiekiem już przeżytym, ruch wielkiego miast miał dla niego tysiące powabów również; oddawał się jego wirowi z młodzieńczym zapalem, używał przyjemności i szarów wesółych do jakich ma prawo zdrowa młodość, ale po gwarze, który to niosło za sobą, po zmęczeniu nawet i przesyte pewnym, po hałaśliwej, a jednostajnej pracy w fabryce, uważał leśną ciszę, ciche przebywanie z naturą za jakąś wykwinną rozkosz.

Używał jej też na sposób sybaryty, i odkrył sobie szczególnie podatne do tego miejsce: mały pawilion, wznoszący się w samym północno zachodnim rogu murów ogrodu. Ośmiokątny, miał dwa okna i dwoje drzwi szklanych, a zatem posiadał otwarty widok na wszystkie cztery strony świata, wnerzę zaś było na tle ścian jasno popielatych pomalowane w pobladłe już arabeski kwiatów i grupy owoców. Kątowa, miękna sofeczka, przy niej nieduży stolik, kilka krzesełek trzeińowych i półeczka na książki po nad sofą, tworzyły całe umeblowanie, a w zab wycięte firanki z silnie czerwonego płótna, spadające na pierwsze szyby okien i drzwi szklanych dawały światłu dziwnie miły ton różowy. Jedne z drzwi miały za sobą balkonik—prosty ganeczek z drewnianymi poręczami i on to czynił nowemu dziedzicowi miejsce to osobliwie przyjemnem, bo szły od niego schodki drewniane, prowadzące już po za ogród, i jego obwarowanie, w otwarte pole. Tylko zielony pasek murawy, wązka miedza biegła wzdłuż murów obejścia ogrodowego, oddzielając je od łąki zboża: zaraz po za nią falowało morze kłosów.

Rankiem, czwartego dnia po przybyciu, do Hirschwinkel nowy dziedzic siedział w miłym, samotnem tem ustroniu, które uczynił jeszcze przyjemniejszem, przeniosłszy tu kilka książek z biblioteki i pudełko doskonałych regalia. W tej chwili właśnie zapalił świeże cygaro i wkrótce błękitny dymek stłumił silną woń mięty i lawendy, dochodzącą z ogródka nieboszczki nadleśniczowej, a że siedział na kanapce naprzeciwko balkonowych drzwi, więc skoro tylko podniósł oczy od książki, wzrok jego padał na drogę, która przebiegając obok dworskich zabudowań, przecinała prostą linią bujne łąny zboża i dopiero w znacznem oddaleniu niknęła w głębi lasu. Przed tem jednak wydzielala się z niej na prawo wązka ścieżynka, prowadząca przez niskie zarosła do folwarku.

Naraz ukazała się na ścieżce, a potem zaraz na drodze postać kobieca, którą patrzący natychmiast poznał. Była to służąca z folwarku. Chód i wysoka kibić wydawały ją, lecz dziś oprócz białej chustki, osłaniał ją jeszcze kapelusz słomiany z zastraszająco szerokim rondem.

Szła powoli, ze spuszczoną ku ziemi głową; w lewej ręce trzymała grabie, a palcami prawej muskała w przechodzie zielone kłosa żyta. Postać dziewczyny uwydatniała się ze szczególną wyrazistością, odbijając się na złościm od słonecznych promieni tle samotnego krajobrazu. Niewątpliwie wybrała się na nadbrzeżne łąki dla odwrócenia siana, przed kilku dniami skozonego.

Zbliżała się coraz ku dworowi, nie domyślając się, że para bystrych oczu śledziła ją z bacznością ciekawością. Młody pan zapominał zupełnie o dziewczynie i jej szorstkiem przyjęciu, ale teraz przypomniał sobie wszystko: przypomniał sobie scenę na zradzieckim mostku, a przypomnienie to wywołało mimowolny uśmiech na jego usta i nagle ochotę przyjrzenia się raz jeszcze dzikiej Dryadzie.

Powstał więc i zbliżył się do szklanych drzwi, podczas gdy ona zatrzymawszy się przed bramą dworu, i wyjęła z kieszeni list. Zdawało się jak gdyby wzrokiem szukała kogoś, komu by go oddać mogła, ale ani w ogrodzie, ani przed domem nie widać było żywej duszy.

Nie namyślając się długo, weszła na dziedziniec, zmierzając do oficyn.

W tej chwili p. Henryk szybko zbiegłszy ze schodków ganku, dogonił ją i zastąpił drogę. Dziewczyna przelekła się, jak gdyby ziemia rozstała się przed nią i z przerażenia wypuściła z rąk grabie.

— List jest zapewne przeznaczony dla kogoś we dworze; daj mi go, wręczę komu należy — odezwał się wesoło, wyciągając ku niej ręce.

Mileżąc podała mu list.

— Co u licha! To właśnie do mnie! — zawołał, spojrzawszy na adres. — Od kogo?

Schyliła się i podjęła grabie.

— Przecież nie od twego pana? — pytał dalej, nie otrzymawszy zaraz odpowiedzi.

— Owszem, od mego pana — odrzekła na swój zwykły, lakoniczny sposób, który już znał dobrze. Uśmiechnął się, wstrząsając lekko głową.

— No, no, widzę że pan posesor pisze pięknym, kobiecym charakterem.

— Nie on sam pisał, chory jest na oczy...

— Tak? A więc dyktował tylko, a jedna z pań pisała. Domyślam się, że panna guwernantka.

Wpatrzył się uważnie w adres. — Piękne, ozdobne litery, jak się godzi wykwintej damie, której delikatne rączki nie dotkną się nigdy niczego innego prócz pióra, papieru i książki.

Z żywością podniosła głowę i młodzieniec już był przygotowany do usłyszenia ostrej odpowiedzi, ale tym razem omylił się. Spojrzała tylko na niego i mileżała.

P. Henryk zapalił sobie cygaro. — Wszak prawda, com powiedział? rzekł. Twoja młoda pani jest bardzo delikatną i niepospolitą osobą?

— Nie — odparła sucho i cofnęła się nieco, gdyż w tej chwili otoczył ją błękitny obłok dymu. Śmieszna rzecz! Prosta dziewczyna, przyzwyczajona zapewne do ordynarnego tytoniu parobków, nie mogła znieść woni wybornych hawańskich cygar. Niezawodnie naśladowała swoją panią: pannę guwernantkę. Myśl ta podrażniła młodzieńca tak bardzo, że umyślnie puścił dym wprost na nią.

— Cóż, nie mówisz mi nic o swej pani? zapytał ironicznie. — A przecież jestem pewny, że zachwyca cię i starasz się ją naśladować we wszystkim...

— Nie...

— Jakto nie? Czy cię twoja pani nie zachwy-

ca? Czy też nie pragniesz być taką, jak ona? Proszę cię, opowiedz mi to szczerze. Od niej to nauczyłaś się tak zasłaniać, że wyglądasz na białą damę. I chodzisz zapewne tak, jak ona, tak siadasz i wstajesz... Przyznaj się, czy nie prawda? Może niekiedy siadasz, jak ona samotnie, aby dumać, patrzeć w niebo i wdychać, tylko że ty nie masz na to czasu?

— Czy pan sądzisz że moja pani nie nie robi?

— O broń Boże! — zawołał szyderczym głosem. — Owszem, jestem najmocniej przekonany, że rączki jej, osłonięte rękawiczkami, bardzo gorliwie zrywają polne kwiatki, które potem kładzie pomiędzy karty książki, lub może maluje je wodnemi farbami. Nadto jej różowe paluszki zapewne haftują jedwabiami, pisują coś w książce zamkniętej na klamkę i z okrutną biegłością biegają po klawiszach dla ubłogosławienia wszystkich ludzi na oko. Wszak i teraz zgadłem?

— Tak, zgadłeś pan — rzekła z pewną determinacją i trochę niecierpliwie poprawiła sobie kapelusz. P. Henryk dojrzał, że rączki były bardzo małe, bardzo zgrabne, ale mocno opalone od słońca.

— A widział! — zawołał coraz weselej rozochocony. — Jest ze mnie kawałek czarnoksiężnika choć nie mam jeszcze siwej brody. Mogłbym ci powtórzyć co do słowa, co panna guwernantka mówi ci zwykle.

Pod białą chustką ozwało się coś, jak śmiech. — Powiedz pan... rzekła dziewczyna wesoło.

P. Henryk wpadł w dobry humor. — Mówi ci o Bogu i naturze, o poezji życia w zgodzie z obowiązkiem. Jeżeli przypadkiem przypalisz leguminę, słyszysz o tem właśnie. P. guwernantka wznosi wtedy oczy do nieba, i patrząc na ciebie wdycha. Czasem załamuje ręce i szepcze nad tobą: Niestety! Niestety!

— Tak — odparła dziewczyna żywo i prędko, gorącej niż zwykle. — P. guwernantka nieraz nademną wdycha i nieraz mówi: Niestety! Czynię to często i ja sama: wdycham, że nie mogę być taką, jaką ona chciałaby mnie uczynić, taką jakiej wzór stawia mi przed oczyma...

P. Henryk spuścił cygaro i słuchał uważnie. Głos dziewczyny tak mu jakoś brzmiał dziwnie, ton jego i słowa same nie odpowiadały wiejskiej sukni i stanowi tej, co mówiła.

— Jaka z ciebie stylistka — rzekł, ale już poważnie. Patrzył bardzo uważnie.

Ona drgnęła i cofnęła się w tył. Ręka posunęła się mimowolnie do chustki, jak gdyby chciała, przytrzymać ją, choć dobrze upiętą, nie poruszyła się. Jej się przecież musiało to zdawać: zdawało jej się, że zasłony jej opadają.

On i to zauważył, ale się nie śmiał. — Zapomniałem żeś służyła podobno w wielkiem mieście i nabrałaś tam innego układu. Jak słyszałem przywołała cię tu ze sobą ta p. guwernantka? Zapewnie więc byłaś w tym samym co ona domu?

Dziewczyna przez chwilę wahała się z odpowiedzią, lecz potem odpowiedziała twierdząco, że tak jest: obie były jednocześnie w domu generalstwa von Guseck w Frankfurcie i gdy p. guwernantka miała odjechać i ona porzuciła dawny obowiązek:

— Aby się z nią nie rozłączyć — dokończył za nią p. Henryk. Nie przyszło mu do głowy, że tamta — guwernantka, musiała być wyjątkowo dobrą, skoro zyskała sobie podobne przywiązanie, a tylko wzruszyło go to uczucie w dziewczynie służącej.

— I dla jej miłości, dla miłości osoby, która ostatecznie jest ci obcą, porzuciłaś wielkie miasto, gdzie praca jest mniej uciążliwą, a zapłata większą, przybyłaś tu: tu, gdzie ci nie może być bardzo dobrze?...

— Jest mi dobrze — odparła, schylając głowę.

On patrzył na nią. Tak coś wdzięcznego było w tym ruchu, że obudziła się w nim nieprzeparta

Służąca possesora Arkusz 4.

chęć ujrzenia twarzy tej dziewczyny. Wielkie miasto wydelikatniło ją niewątpliwie i dla tego się tak osłania, a musi być zarazem ładną i wie o tem, skoro dba w ten sposób o płeć.

— Cheesz zaciekawiać ludzi tą twoją białą chustką — rzekł jej przysuwając się bliżej. Bawisz się z niemi w maskaradę. Ale dziwna rzecz, że tego właśnie nie zganila ci twoja guwernantka. Posadzają cię tu o próżność, jak słyszałem od Greblowej.

— Oh! ta kobieta...

Głos brzmiał żalem głębokim, więcej żalem niż gniewem i trafił młodemu paniczowi do serca. — Miarkuję że może ci to być przykro — rzekł — ale powinnaś właśnie pokonać nieprzyjaciółką jej własną bronią... Zrzuć z głowy ten perkal i spojrz ludzom oko w oko...

— Nie, nie zrobię tego, bo nie chcę. Nie dbam o ludzi.

— Ale ludzie dbają o ciebie — rzekł młody panicz wesoło i ruchem szybkim rozwiązał jej kołnierze chustki pod brodą!

Dziewczyna krzyknęła — krzyknęła krzykiem prawie boleści i rzuciła się w tył, zawiązując szybko chustkę.

Ale już było zapóźno, jeżeli celem dziewczyny była rzeczywiste maskarada, jak jej to powiedział niedawno. Już zobaczył całe jej lice: twarz rzadkiej i niepospolitej piękności.

Wrażenie było taksilne, że go przykuło domiejscu. Dziewczyna oddała się tymczasem, widocznie płacząc, a on stał, trzymając w zębach cygaro, jak wtedy, gdy zapotrzebował dla ataku na biedną obu swych rąk. Płacz dziewczyny zmieszał go i ukłół w serce.

Patrzył za odchodzącą wzruszony, niespokojny; zawołał nawet na nią, aby się zatrzymała, ale głos był prawie nieśmiały. Coby zrobił, gdyby go usłuchano? Czyby przeproszał i w jakich słowach? Wołał też niegłośnie, przecież dziewczyna przystanęła i obróciła się żywo ku niemu.

— O! niedobry jest z pana człowiek — rzekła przez łzy — pomiatasz ubogą dziewczyną dlatego, że uboga, że musi pracować ciężko. Żartujesz pan z guwernantek, też z tej przyczyny; biedne są, więc można... nikt się za niemi nie ujmie.

Płacz zatłumił jej głos. Z początku mówiła gniewnie, ale w ostatnich wyrazach ozwał się wielki żal, skarga smutna. Urwała, zwyciężona przez łzy i uciekła: — płacząc.

On stał na miejscu. Uczuł wyrzuty sumienia i wstyd — wstyd ogromny. Rzeczywiście postąpił sobie źle i była pewna prawda w słowach dziewczyny: z bogatą panną, nie odważyłby się na krok podobny. Co u licha popełniło go do tego, jego który był zawsze poważny i nie ugaśniał się nigdy za spodniczkami. Ale ta dziewczyna miała w sobie coś wyjątkowego, tak pociągała do siebie i zaciekawiała, że nie mógł się oprzeć żywej chęci zobaczenia, jak wygląda. Ciekawość go skusiła i zrobił głupstwo.

Rzucił cygaro i powrócił do altany, a zatrzasnąwszy za sobą drzwi szklane, przystąpił do jednego z okien, zły na siebie ale i na dziewczynę. Co za śmieszność płakać o taką drobnostkę! Widział jak młodzi jego przyjaciele nieraz żartowali z ładnymi pokojówkami, a nawet przysposobności kradli im całusy, a przecież nikt nie brał im tego za zbrodnię, choćby nawet przedmioty ich zalotów najsilniej protestowały i gniewały się. Czyż więc było to szczególną obrazą, że dotknął się przekłętą kapturą? Za jedno spojrzenie skarcony został tak surowo, jak świętokradzcy, którzyby wdali się zbrodnio do świątyni i znieważyli znajdujące się w niej bóstwo. Dziewka pracująca w polu musiała niezawodnie słyszeć nieraz rozmaite dowcipy i znosić żarty rozochoconych parobków, dla czegoż więc okazała się tak drażliwa na jego, w gruncie rzeczy niewinny postępek? Ale miała przed sobą zaraźliwy wzór guwernantki, która pewno tyle jej nagadała o godności ludzkiej, o godności kobiecej,

że zrobiła z prostej dziewczyny śmiecznie pozującą skromnością, która, jak teraz dowiodła, zasłaniała się więcej przed ludźmi, jak przed słońcem.

Lecz w tej chwili przypomniał sobie, jak była niezmiernie piękną, jak głos jej, melodyjny z natury, był wyrobiony; przy każdej dłuższej nieco odpowiedzi zdradzała się z wykształceniem nad stan i położenie. Nietylko uroda ale znać i zdolności jej były rzadkie i to sprawiło, że pobyt w mieście, ocieranie się o klasy wyższe podniosły ją tak nad pojęcia prostego ludu, i w stosunku z nią trzeba było chyba chować względy, wymagane przez panny w salonach.

Czy to przecież rzecz naturalna? Czy to nie śmieszność? Henryk Markus mówił to sobie stokrrotnie, nie mniej stracił fantazję i dobry humor na cały dzień.

Pan Piotr Griebel przerwał te przykre rozmyślenia. Szukał go aż tu dziedzica, aby zdać mu sprawę z działań inżynierów, którzy wytykali szlak dla mającej się budować wkrótce kolei żelaznej. Przechodziła przez Hirschwinkel i niepodobno było odwrócić tego; szczęście przynajmniej, że przerzynała tylko łąkę, wcale nie dotykając ornych gruntów. Za to z folwarkiem było gorzej: wytknięto linię tuż prawie pod domem mieszkalnym i stary posesor gniewał się o to do zapamiętania. Chciał wyrwać tyczki, które ludzie wbijali, dowodził inżynierowi, że to gwałt, gdyż pomijając przykrość wynikającą z hałasu, dom, zabudowania i ogród będą ciągle w dymie i tumanie sadzy, przytem grunt osłabi się przez przebieg ciężkich wagonów i budynki muszą ulec zniszczeniu.

W czasie opowieści Griebela, p. Henryk przypomniał sobie o liście, który miał dotąd w kieszeni, i o którym zupełnie zapomniął z powodu niemiłego zajścia z dziewczyną. Rozerwał więc kopertę i przeczytał go, śmiejąc się i gniewając na przemiany. Począwszy od pana, a skończywszy na służącej, wszyscy ludzie na folwarku byli dziwakami: dziwakami pełnymi urojonych pretensyi, i niepojętej dumy.

Stary posesor, jak i młody dziedzic nauczył się już mówić, zupełnie nie pamiętał o tem, że dzierżawa folwarku wypowiedzianą mu została przez adwokata, a tylko w bardzo kateryczny sposób protestował przeciwko niedbalstwu dziedzica w kwestyi przyszłej kolei żelaznej. W skutku tego niedbalstwa dzierżawca narażony będzie na nieobliczone straty i zupełną ruinę, jeżeli dom mieszkalny i budynki gospodarskie nie zostaną przeniesione dalej. W każdym razie, on, p. posesor, nie chce podjąć się tego uciążliwego zadania, które jest obowiązkiem właściciela gruntu. Zakończyła rzecz wzmianka, zawarta w kilku krótkich słowach, że wprawdzie zalega dotąd z czynszem dzierżawnym, lecz uiszczyć z niego lada dzień, oczekuje bowiem przysyłki znacznej sumy, z którą syn jego, wielce bogaty człowiek w Kalifornii, w niepojęty dla piszącego sposób opóźnił się aż dotąd. Skoro tylko pieniądze nadejdą, natychmiast drobnostka, będąca wierzytelnością nowego dziedzica, zostanie mu zapłaconą.

— Tak, tak, to zwykły jego sposób — zaśmiał się Piotr Griebel, gdy Henryk przeczytał mu list. — Dumna sztuka ten stary i udaje zawsze pana. Umrze z tem...

— Udaje pana! — zawołała wchodząca w tej chwili za śladem męża żona. — Ach, Piotrze, Piotrze, jakże ty jesteś miękki dla ludzi! Stary jest kłamecą, blagierem, fanfaronem! — Pocziwa kobiecina trzymała w ręku pietruszkę, której przed chwilą narwała w ogrodzie i stojąc w progu altany, podniosła ją w górę jak łaskę marszałkowską. — Zaklinam pana na miłość Boską, nie wdawaj się pan z tym człowiekiem, i nie wierz mu. Zjadł już wszystko co ma i jest tam teraz nie bieda już, ale nędza. Tak... nędza, nie bieda a Piotr, zwyczajnie jak Piotr, powiada: — Udaje pana... Historyą o synu z Kalifornii chce stary kłameca ludziom oczy zamydlić. Pięknym musi być synek takiego tatki.

— Nie mów takich rzeczy, Jettchen... przerwał mąż. — Wiem od nieboszczki pani, że młody Franz jest bardzo dobry chłopiec, a jeżeli oddał się z domu i poszedł w świat, to jedynie ze zmartwienia i zgryzoty, jaką mu sprawiał stan interesów rodzicielskich. Biedak nie mógł sobie dać rady z ojcem i poszedł w świat, pracować na własną rękę. Raz nawet przysłał znaczne pieniądze rodzicom. Wprawdzie później przepadł jak kamień w wodzie i nikt nie wie, czy żyje i gdzie się obraca, co dręczy okrutnie nieszczęśliwą matkę. Z tego może choruje...

— Słyszysz pan, co sam mówi, słyszysz pan!... — zawołała Griebelowa, wskazując pietruszką na męża. — I ten człowiek chce abym się rozwodziła z pochwałami niegodziwca, który żałuje trochę papieru i atramentu, aby uspokoić rodzoną matkę! O, nie doczekasz się tego, Piotrze, abym była tak słabą, jak ty.

Jako osoba mocna zabrała ze sobą wkrótce męża na śniadanie, a młody pan zagłębił się znów w rozmyśleniach, chodząc z żywością po altanie.

List posesora przypomniał mu znowu ważną sprawę spadkową, którą los złożył w ręce nowego dziedzica. Jeszcze dziś rano był pewny, że krótką rozmową z adwokatem przed samym wyjazdem z Hirschwinkel, i paru listami z Berlina, załatwi wszystko bez trudności i zgodnie z ostatnią wolą zmarłej, nie potrzebując zawiązywać osobistego stosunku z osobami, których to dotyczyło. Ale obecnie wyszła na jaw całkiem nowa osoba, ów syn, którego nieboszczka nadleszczowała bardzo lubiła i szanowała, jak stanowczo zapewniał Piotr Griebel, lubo nie uczyniła o nim żadnej wzmianki w notatce, którą nowy dziedzic uważał za niewątpliwie objawienie jej ostatniej woli. Czyż by i on miał być tak samo uległym i miękkim, jak jego matka i równie jak ona nie zdolnym był opierać się despotycznej samowoli starego utracjusza? Czyż więc dla tego spadkodawczyni obawiała się zapisać na jego imię majątek, zabezpieczając od nędzy przyjaciółkę, której los ją niepokoił?

Widocznie zatem nieboszczka musiała mieć bardzo wielki szacunek dla szlachetności i siły charakteru tej młodej dziewczyny, tej guwernantki, gdy jej opiece postanowiła ostatecznie powierzyć biedną chorą kobietę: osobie, która nawet będąc tylko synowicą męża, nie była w rzeczywistości znaczeniu tego słowa krewną obdarowywanej. P. Henryk Markus czuł się zadziwiony. Nieboszczka była wielce praktyczną i rozuemną, zdanie jej należało więc szanować, a przecież tu musiała mieć miejsce niepojęte zaślepienie, bo nie tylko właśnie jego uprzedzenia mówiły przeciw p. Agnieszce Franz. Nie lubił guwernantek to prawda; widział w nich istoty wykołejone i zepsute przez fałszywe położenie już z tego samego powodu, że ubogie i na chleb pracujące żyły na stopie równości z ludźmi bogatymi, i przyzwyczajały się do życia nad stan. Przytem z położenia swego musiały uważać się za mądrzejsze, rozumniejsze od innych kobiet, a zwykle były to tylko pełne pretensyi, pełne zarozumiałości niepraktyczne osoby — jeżeli nie gorzej: to jest jeżeli nie były to intrygantki, wdzierające się w głąb rodzin na wszelki możliwy sposób. Ale owa p. Agnieszka już osobiście wstrętna mu była. W domu jej stryja panowała bieda, mówiono o służącej, która źle czy dobrze, ale zawsze jakoś zajęła się gospodarstwem, ale o niej, nikt nie rzekł ani słówka. Grała, śpiewała, wdychała, czekając na jaki łup, który sobie złowi...

(Dalszy ciąg nastąpi)

WÓDZ-DUCH

POWIEŚĆ

KAROLA DESLYSA

przekład z francuskiego J. M.

(Dalszy ciąg).

— Nie mogę uczynić nic, nic! — rzekł lord Cornwallis nielitościwie.

Lecz zarazem podniósł syna, i przycisnął sobie do piersi z tklivością.

— Odwagi, moje dziecko! — rzekł mu drżącym nieco ze wzruszenia głosem. — Moje przywiązanie do ciebie, moja rodzicielska miłość nie może, bo żądasz odemnie rzeczy niepodobnej... Uspokój się, zbierz siły...

Gdy Reginald błagał go jednak wciąż, gdy zrozpaczony, zawołał: Ojczy, zaklinam cię na pamięć mej matki... on odparł już surowo. — Już więcej nic ci powiedzieć nie mogę. — Zobaczę się z księżną... ona zrozumie mnie... Pozostaw mnie samego...

Po chwili przecież dodał: — Prawdopodobnie uderzą na nas tej nocy... Przedewszystkiem jesteś żołnierzem... powróć na swe stanowisko!

Reginald zrozumiał wreszcie, że nalegać dłużej byłoby nadaremnie dręczeniem ojca i siebie. Blady, chwiejący się prawie na nogach wyszedł.

Głowa młodzieńca płonęła, oczy zasłaniała mu mgła. Zstepując ze schodów, doświadczył silnego zawrotu głowy i obu rękami wsparł się o poręcz kamienną.

Świeżość nocnego powietrza oziębiła go przecież. Wsiadł na konia i pojechał, można powiedzieć, że powierzając się przypadkowi. Ulice były zupełnie puste, burza zbliżała się coraz groźniej, już nawet deszcz zaczął padać. Reginald bódł konia ostrogą, lecz i teraz wcale nie kierował nim. Czuł potrzebę fizycznego znużenia — obawiał się, aby nie oszaleć.

Ile w ten sposób upłynęło czasu, tego sam nie wiedział. Gdy wreszcie chciał przekonać się, gdzie się znajduje, zobaczył się znów przed zamkiem wicekróla.

Czytelnicy przypominają sobie, że gmach ten dotykał do więzienia. Nowy Zamek i Stary Zamek, przyparte były do siebie i w nocy zdawały się składać jeden tylko budynek milczący i ponury.

Dwa jedynie okna były oświecone: w Nowym zamku świeciło się w gabinecie lorda Cornwallisa, w Starym, w mieszkaniu komendanta.

Reginald zadrżał, jak by uderzony nową myślą.

— Ach! — szepnął sam do siebie — to może ostatnia nadzieja!

XXVII.

Dwa pierwsze sposoby ocalenia.

Reginald puścił konia klusem. Skierował go ku więzieniu.

Brama, lubo strzeżona przez żołnierzy, otworzyła się przed nim.

Zsiadłszy z konia w pierwszej sklepionej bramie, zapytał o kapitana Perkinsa. Tak się nazywał komendant, stary Szkot, pozbawiony lewej ręki.

Odbył on wszystkie kampanie, pod rozkazami generała Cornwallisa, tak w Ameryce, jak w In-

dyach. Przywiązanie jego dla ojca i syna nie miało granic.

Powiedziano półkownikowi, że komendant był zapewne u siebie. Reginald kazał się tam zaprowadzić.

Przechodząc przez podwórze, ujrzał — nie patrząc nawet — armaty, nawet bardzo wiele armat, które zazwyczaj nie znajdowały się w tem miejscu.

Ustawiono je na wałach starej warowni u wszystkich strzelnic. Artylerzyści stali już przy nich z zapalonymi lontami w rękę.

Oficerowie przechadzali się tam i napowrót. Jeden z nich osłonięty szerokim płaszczem zdawał się mocno zadziwionym, ujrawszy przechodzącego półkownika dragonów.

Lecz ten nic nie widział, tak bardzo spieszył się, pragnąc jak najspieszniej dostać się do komendanta.

Po krótkiej chwili oczekiwania, został wprowadzony.

Kapitan Perkins siedział pochylony nad stołem, na którym rozłożoną był mapą dwóch przyległych zamków i ich okolic. Na odgłos kroków wchodzącego podniósł głowę i ukazał rumianą, prawdziwie żołnierską twarz, okoloną siwymi faworytami.

W starym tym żołnierzu niewątpliwie nie dostrzegłeś żadnego bohaterskiego rysu, lecz przed stawiał on typ szczerości i otwartości, którą częściej niż przypuszczamy, spotkać można pod angielskim mundurem.

— A... pan półkownik! — zawołał. — Niewypowiedziany zaszczyt dla mnie... Przychodzisz pan przejrzeć, co się dzieje? Przed dziesięciu minutami jeszcze nie mógł bym być przyjąć pana tak spokojnie, ale teraz już jesteśmy w porządku. Niech nas atakują na S-go Dunstana, mego patrona, przyjmę ich jak należy, i sprawię im piękną ucztę! Przypominasz sobie, półkowniku, ową nędzną budę, którą broniliśmy tam, nad brzegami jeziora Ontario, przeciwko niezliczonemu tłumom Czerwonych Skór. Wcale nie spodziewali się moich armat... Bum! Jeszcze dziś widzę, jak to drapało, jak uciekała... hołota. Oh! nienawidzę takich podłych tłumów... Jeżeli się bić, jeżeli walczyć, to żołnierz z żołnierzem... Ale co to panu sir Reginaldzie? Mileczysz...

Te ostatnie słowa kapitan wymówił zupełnie odmiennym głosem, w którym czuć było rodzicielski niepokój. Stary teraz dopiero spostrzegł nie zwykłą bladłość i rozpacz, wyrżytą na twarzy Reginalda.

— Perkinsie — odezwał się wreszcie gość — przychodzę prosić cię o... przysługę!

— Jestem na twe rozkazy półkowniku — odparł z pośpiechem komendant. — Czyż to nie ja uczylem cię władać szablą? Czy nie przy moim boku siedział po raz pierwszy na nieprzyjaciela? Po wojskowemu mówię ci, że trzymałem cię do chrztu, otóż dla mego chrześniaka gotów jestem skoczyć w wodę, w ogień. Mów półkowniku.

Ale półkownik nie mógł mówić właśnie. Był blady jak ściana, drżał. — Jeden z więźniów musi ująć, musisz dopomóc do tego kapitanie... wyszeptał głuchym głosem...

Perkins podskoczył na krześle.

— Ach, chyba żartujecie sobie ze mnie! wykrzyknął.

— Czyż wyglądam na żartującego? — zapytał młodzieniec z goryczą. — Spójrz na mnie stary przyjacielu!

— W istocie — wyjąkał ten ostatni — wyglądasz półkownikowi jak skazany na śmierć.

— Bo więcej niż o życie własne, idzie mi o ocalenie Fitz - Geralda! — zawołał sir Reginald z boleścią. — Perkinsie! jesteś ubogim, masz dzieci... a cały mój majątek...

Tu komendant przerwał mu ze szlachetnym oburzeniem:

— Ach! to tak. Przychodzisz pan ofiarować mi pieniądze za zdradę! Żądasz odemnie tej oto ręki, która mi pozostała jeszcze, a dam ci ją chętnie i to za nic. Lecz przystać na hańbę... nigdy!

— Przebac! — wyjąkał biedny kusiciel ru-

mieniący się i zawstydzony, że mógł tak znieważać starego żołnierza.

A przecież nalegał jeszcze, błagał aż stary zmarszczył brwi.

— Panie półkowniku! każe cię aresztować! zawołał, ale w głosie drżał mu niewysłowny żal, bo boleść Reginalda zdawała się bliską przywiedzenia go do utraty zmysłów.

Nagle zawieszony na ścianie kobierzec uniósł się do góry, ukazując tajemne drzwi. Stał w nich lord Cornwallis.

— Dobrze, Perkinsie! — rzekł. — Jestem zadowolony z ciebie, stary towarzyszul!

Poczem zwróciwszy się ku synowi, rozkazał surowym głosem:

— Za dziesięć minut masz być na czele swego pułku!

— Och, postaram się oto, abym zginął! — zawołał nieszczęśliwy z rozpaczą.

— Jeżeli zajdzie potrzeba, będzie to twym obowiązkiem! — odparł ojciec z niewzruszonym stoicyzmem.

Reginald nagle rzucił mu się do nóg.

— Mój generale! — błagał Perkins głosem i wzrokiem.

— Nie dla ciebie, lecz dla niego przebaczam — szepnął Cornwallis, podając synowi rękę.

Lecz natychmiast prawie, stłumiwszy siłą woli głębokie wzruszenie, które sobie wyrzucał jak zbrodnię, dodał zwykłym mu, rozkazującym i lodowatym głosem:

— Dość już, będę chciał zapomnieć nieszczęśliwego szaleństwa, lecz teraz nie ma czasu do stracenia, idź na swe stanowisko!

Reginald jak oszalały wybiegł ze Starego Zamku.

Droga, prowadząca do koszar dragonów, ciągnęła się obok mieszkania Gaillefontaine.

Poprowadził go tam instynkt. Zatrzymał się, przypominając sobie, że wicehrabia miał oczekiwać na niego.

I czekał też, a teraz też usłyszawszy tentent konia z pośpiechem wybiegł na balkon, znajdujący się jak wiemy po nad suterynami.

— I cóż? — zapytał, wychylając się ku ulicy.

— Ach! — odpowiedział Reginald głosem pełnym rozpacz—jestem przeklęty! Nic! Nie mogę nic! Nic dla niego, nic dla niej!

Nagle od strony Starego Zamku huknęły liczne strzały.

Półkownik siedząc na koniu, podniósł się na strzemionach.

Tankred zrozumiał natychmiast, co się stało.

— Czego nie mogłeś pan otrzymać łagodnością! — rzekł — ktoś inny pragnie zrobić siłą.

— Co myślisz wicehrabio? Czy przypuszczasz, że jest ktoś...

Tankred odpowiedział jednym tylko słowem:

— Dziki Ir...

Strzały podwoiły się i nagle buchnął potężny okrzyk: — Erin go bragh!

Widocznie napadnięto na więzienie.

— Rewolucya! — zawołał Reginald, jakby się budząc ze snu. — Ach, rozumiem cię ojczy! Muszę... mam obowiązek spieszyć... Jeżeli zgine, przyjacielu, prosz Łucyi, aby mi przebaczyła!

I nie wahając się ani przez chwilę dłużej, popędził cwałem, aby objąć dowództwo nad dragonami.

Irlandczycy liczyli, że uderzą na nieprzygotowanych, lecz lord Cornwallis i stary Perkins mieli się na ostrożności. Stało się prawie to samo, co z Czerwonymi Skórami z nad brzegów jeziora Ontario.

Pozwolono napadającym dojść do warowni i zbliżyć się do samych murów. Potem nagle zabrzmiały działa i kartacze, oczyściły szybko plac.

Jest rzeczą wprost niepodobną, aby tłum najważniejszy mógł się utrzymać w obec strażów licznej artylerji. Pomimo nadludzkich wysiłów dowódców nastąpił popłoch i ucieczka: cofnięto się w tył, po za odległość strzałów.

Lecz nagle w koszarach miejskich zagrały trąbki, po chwili cały garnizon Dubliński był na nogach.

Wszystkie place, wszystkie ulice, zmierzające ku środkowi miasta zostały zajęte przez wojska, i powstańcy z napadających stali się teraz napadniętymi. Po pierwszym napadzie, odparcia następnie sami zaatakowani, walczyli dzielnie i zaczęli się cofać dopiero po zażartej obronie.

Posiadali zaledwie kilkaset strzelb, reszta uzbrojona była jedynie w piki i walka zdawała się niepodobną.

A jednak to niepodobieństwo nastąpiło. Po pierwszym popłochu, skupiono się znowu i usiłowano torować sobie drogę rozpaczliwym wysiłkiem, wielokrotnie powracając do szturmów; jeden z hufców szczególnie zdawał się niezwykłym. Opierał się aż do północy. Lecz ostatecznie wojska odniosły zwycięstwo.

Strzały stawały się coraz rzadszemi, oddalały się umilkły.

Tankred niespokojnem uchem łowił dalekie odgłosy. Kilka razy wysłał Pata po wiadomości, zalecając mu jak największą ostrożność.

A ten biedak okazywał się prawie zdziwiałym, tak był nerwowym. Zrywał się słysząc okrzyki swoich, drżał, bladł, miotał się po pokoju i Gaillefontaine zaledwie zdołał go powstrzymać.

— Arrah! — jęknął powróciwszy ostatni raz ze zwiadów — Arrah! wszystko skończone! Na ulicach pełno trupów, lecz ci, którzy przeżyli tę noc, zdołają się ocalić, bo mgła rozciągnęła się po nad miastem, niby tarcza samego Boga. Nie można nie dojrzeć o dwa kroki.

Wicehrabia w milczeniu udał się do swego pokoju i nierozebrany rzucił się na łóżko.

Lecz w tej samej chwili dały się słyszeć na ulicy liczne i przyspieszone kroki.

— Co to jest? — zapytał wtedy Pata, zrywając się. — Wyjrzyj!

Obok pokoju sypialnego znajdował się, jak nam wiadomo obszerny ganek, rodzaj hiszpańskiej verandy, wychodzącej na wybrzeże. Mnóstwo większych i mniejszych doniczek, z rzadkimi roślinami i kwiatami, czyniły z niej pewien rodzaj oranżeryi i wicehrabia żartując, nazywał ganek swemi wiszącymi ogrodami Babilonu.

Pat uchyliwszy szklane drzwi, usiłował rozpoznać przedmioty poruszające się w pośród gęstej mgły.

— Och — szepnął — jakże ciemno! Widzę tylko cienie ludzkie, i coś, co ciągną i co huczy po bruku.

Poczem domyslać się nagle:

— Ach, to wozy! — zawołał głośno. — Będą stawiać barrykadę! A tak... — dodał zaraz. — Słychać w oddali tentent nadejdującej konnicy. Lecz spiescie się! O spiescie zuchyl... Hillu! — Milez! — zawołał z żywością Tankred.

— Ach panie, jakże tu milczeć...

Na wybrzeżu rozległ się donośny głos komendy.

— Na łódzie, na łódzie! Ja sam zatrzymam ich przez chwilę! Nie wahajcie się, przędziej... Wkrótce będę z wami. Dalej naprzód! Rozkazuję!

Był to niewątpliwie głos Jakóba.

Gaillefontaine wybiegł na verandę, chcąc sam popatrzeć z kolei.

Ujrzał najpierw kilkudziesięciu ludzi, cofających się ku rzece; dalej dwa cienie i więcej nie.

Pat mówił prawdę — po nad miastem unosiła się mgła, jakgdyby rzeczywiście niebo schyliło się ku ziemi i spuściło jej swoje chmury. Słychać było jedynie tentent zbliżającej się cwałem konnicy.

Pierwszy szereg rozbił się o niewidzialną przeszkodę.

Powstał niesłychany zamęt: padanie ludzi i koni, rżenia i przekleństwa, te ostatnie w niemieckiej mowie.

— Czarne ulany! — szepnął Pat.

— Cicho! — ostrzegł Tankred.

Chrapliwy głos barona Homspach wydał następujący rozkaz:

— Pierwszy pluton z koni! Zniszczyć barykadę! Światła! A żywo! Trzeba pochwycić zbiegów! Tam są same herszty?

Zapalono pochodnię, potem dwie inne, lecz i te, tak samo jak pierwsza, zgasły natychmiast. Trzy kule, gwizdnęły i zabiły ulanów, którzy je niesli.

Przy chwilowym ich blasku, wicehrabia poznał Uncasa, podającego karabiny swemu panu. Bez wątpienia teraz nabijał je na nowo.

Lecz Niemiecki dowódca zobaczył także, że przejście zastawione było jedynie przez kilka wozów, a może i dojrzał, że tylko dwóch ludzi broń barykady.

Głosem i gestami przyspieszał wykonanie wydanego rozkazu.

— Ognia! — zawołał też chrapliwie. — Strzelać razem z muszkietów i z pistoletów!

Jakób nie dał żadnej odpowiedzi. Cofał się, lecz zwrócony twarzą ku wrogom, bez pośpiechu, jak ten, któremu głównie chodzi o zyskanie czasu.

Wkrótce zawalone przejście zostało oczyszczone.

— Co koń wyskoczy! — zaryczał baron Homspach.

Dziki Ir, znacznie wyprzedziwszy ścigających, miał jeszcze czas wystrzelić trzy karabiny i dwa pistolety, lubo kule skierowane były w ciemności.

W pośród gęstej mgły, w której tak bohaterko zniknął, a w której i wrogi jego niknęli z kolei, zdawało się, jako by on sam jeden walczył przeciwko całemu pułkowi.

Ostatnie strzały podwoiły wściekłość i szybkość ulanów.

Tankred nie zdołał już nie rozróżnić. A zresztą tak samo jak Pat musiał usunąć się nieco w tył, aby uniknąć strzałów, których kule leciały przez powietrze na chybi trafi.

Nagle uszy ich ogłuszył straszliwy hałas, powstały z krzyków boleści i przestachu, z uderzeń i brzęku broni, rozlegających się z niesłychaną siłą.

Lecz nie był to odgłos walki; zdawało się raczej, że nastąpiła jakaś niespodziewana, okropna katastrofa — zapadnięcie się w przepaść nawały ludzkiej.

Wicehrabiemu przemknęło nagle w myśli niby objawienie się, w które Dziki Ir wciągnął ścigających go wrogów.

Nieco dalej ulica nadbrzeżna zakręcała się prawie pod kątem prostym, a parę kroków dalej w prostym kierunku zaczynał się nagły i znaczny bardzo spadek, prowadzący wprost do rzeki.

Była to właśnie godzina przypływu morza i stan wody musiał być nadzwyczaj wysoki. Przepaść, osłonięta przez gęstą mgłę i o której ulani rozjuszeni wściekłością zapomnieli zupełnie rozwarła się przed końmi.

Cały pierwszy szwadron, uniesiony niepowstrzymanym biegiem, dopadł wybrzeża, potoczył się z niego w strasznym bezładzie ludzi i koni i runął w spienione głębiny, które natychmiast zamknęły się za nim.

Co zaś do reszty, jedni pospadali z koni, trатовani przez towarzyszy, drudzi oszaleli trwoga, cofali się szybko w tył, rzucając się jedni na drugich, w pośród ciemnej nocy w nieopisanym nieładzie.

Nagle dwie jaskrawe błyskawice oświeciły ten obraz.

Gaillefontaine ujrzał nieco dalej na rzece liczne łódzie, napełnione zbrojnemi ludźmi, a na jednej z nich dwie śmigownice, które w tłum Niemców obłąkanych ze strachu synęły kartaczowym ogniem.

Nie potrzeba było więcej do najzupełniejszej klęski. Znanem jest tehórzostwo Niemców, gdy tylko nie czują się w przeważnej liczbie i na dobrze zabezpieczonym gruncie. Ułani sądząc się obkoczeni przez całą armią, zawrócili konie z pośpiechem i gdy wreszcie wydobyli się na ulicę,

co nie obeszło się bez nieustannych potykań i przekleństw, nastąpił najzupełniejszy popłoch.

Baron Homspach zmykał jeden z pierwszych. Tygrys zamienił się w trworliwego zająca.

Gdy pędził obok werandy, Tankred ujrzał, że nagle zachwiał się na koniu, wydając jęczący ryk, połączony z brzękiem stali.

Nie mogła przecież dosięgnąć go zabłąkana kula, lecz po prostu doniczka z kwiatami, która z trzaskiem rozłupła się na karku barona.

Wicehrabia obrócił się żywo ku Patowi i natychmiast zrozumiał, z kąd pochodził niespodziewany cios.

— Czy chcesz, aby tu byli za chwilę i zarabali nas palaszami? — zapytał.

— Arrah! — odparł biedny. — Nie wiem sam jak się to stało! Ręka schwyciła i cisnęła, lecz trzeba przyznać, że trafiła doskonale... Flougl!

W tej chwili na drugim końcu wybrzeża rozległ się donośny głos:

— Walka rozpoczyna się na Liberties. Na pomoc! Na pomoc! — Wołaniu odpowiedział okrzyk wojenny... — Eryn go brahl!

Dał się słyszeć szmer wioseł na rzece i turkot wozów na bruku. Oddział niby uciekających powrócił i wylądował ze swemi dwoma śmigownicami.

W pół godziny później w starej części miasta, na Liberties wrzała zacięta walka, rozlegały się strzały karabinowe, huczał grzmot dział.

O świcie ucichło wszystko, nastąpiła grobowa cisza śmierci!

Zamiary Jakóba tak samo speliły na niczem jak usiłowania sir Reginalda — szepnął po cichu Tankred. — Teraz na mnie kolej działania.

XXVIII.

Działanie Gaillefontaine.

W pałacu Leinster nikt nie zamknął oczu tej nocy, która roztrzągała los Fitz-Geralda.

Księżna nie kładła się wcale i aż do rana przesiadywała w fotelu. Nieruchoma, ze złożonemi rękoma — modliła się.

Lucya trzymała się boku Pamelii, starając się ją uspokoić, a przytem słuchając z wyteżeniem każdego szmeru dochodzącego z ulicy.

Od czasu do czasu Kornelia wyglądała oknem, które wreszcie pozostawiła otwartem.

Wtedy huk strzałów dochodził wyraźniej, na niebie ukazała się łuna pożaru, hałas walki stawał się coraz głośniejszym. Przy każdym grzmocie dział chrestna córka Jakóba drżała na całym ciecie. Och! ona nieszczęsna wiedziała dobrze, kto tam najbardziej narażał się. O niego to przedewszystkiem serce jej drżało najżywszym niepokojem.

Wreszcie zrobił się dzień. Parę godzin upłynęło, a nikt nie pomyślał, aby zagasić palącą się dotąd lampę, która oświecała noc oczekiwania i żaloby.

Od czasu gdy umilkł odgłos strzałów, co chwila wysyłano na miasto po wiadomości. Lubo wieści różniły się co do liczby zabitych, rannych i uwięzionych, wszystkie jednak zgadzały się w tem, że Anglicy wzięli górę.

Wreszcie nadszedł wicehrabia.

Wszystkie oczy, wszystkie usta pytały go jednocześnie.

(Dalszy ciąg nastąpi)